Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 40 Niedziela, dnia 30 września 1928 roku Rok IV-ty

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P.K.O. № 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

W PRZEDEDNIU.

W PAŹDZIERNIKU w myśl postanowień, zawartych w obowiązującej obecnie konstytucji, powinienby zebrać się Sejm i Senat. Dotychczas jednak nic nie słychać o porządku dziennym tej nadchodzącej nowej sesji. Wprawdzie ma to być sesja budżetowa, ale — o ile wiadomo — prace nad projektem budżetu nie są jeszcze tak daleko posunięte, by w terminie miesięcznym projekt mógł ukazać się w druku i być złożony w sejmie. Niewiadomo nawet, czy byłoby to możliwe nawet przy największym pośpiechu. Izby ustawodawcze powinnyby przeto przed otrzymanim budżetu zająć się innymi sprawami.

Ale jakiemi? W czasie ostatniej sesji wiosennej rząd miał przygotowanych kilka projektów ustaw, które zamierzał podobno wnieść do Sejmu. Tak przynajmniej wynikało z oświadczeń niektórych ministrów. Obecnie jednak niewiadomo, czy projekty te są jeszcze aktualne i czy rząd nadal trwa w zamiarze złożenia ich do laski marszałkowskiej.

Oprócz projektów rządowych sejm mógłby się zająć własnymi wnioskami ustawodawczemi. Jest tych wniosków kilka, ale — jak wiadomo — są to wszystko wnioski demonstracyjne, mające sparaliżować dotychczasową swobodę ruchu rządu i wprowadzić pewne ograniczenia, krępujące rząd w jego polityce. Mamy tu na myśli sprawę „Dziennika Ustaw" i szereg wniosków, które zamierzano wysunąć w różnych frakcjach sejmowych. Trudno jednak przypuszczać, by Sejm chciał od takiej właśnie dyskusji zaczynać swoje obrady.

Wszystko to skłoniło Marszałka Sejmu p. Daszyńskiego do nawiązania rozmów z Prezesem Rady Ministrów na temat nadchodzącego terminu zwołania Sejmu. Treść tych rozmów nie jest znana, nie trudno jednak domyślić się, że Marszałek Sejmu zwrócił się do Premjera z pytaniem, z jakiemi sprawami i projektami rząd zamierza zwrócić się do Sejmu i jak sobie rząd wyobraża porządek dzienny nadchodzącej sesji.

Odpowiedzi konkretnej p. Daszyński najprawdopodobniej nie otrzymał, gdyż — jak wspomnieliśmy wyżej — do ostatniej chwili nic nie słychać o jakichś dojrzałych już do laski marszałkowskiej projektach ustawodawczych, opracowanych przez rząd. A takich rzeczy nie trzyma się przecież w tajemnicy — a zwłaszcza nie trzyma się ich w tajemnicy u nas. Wiadomo bowiem powszechnie, że każdy projekt ustawodawczy dyskutowany jest w kilku instancjach i bardzo często zasięgana jest opinja zainteresowanych grup społecznych, zanim zostanie ostatecznie sformułowany i przygotowany do poddania go procedurze ustawodawczej. Rozmowa tedy pomiędzy Marszałkiem Sejmu a Prezesem Rady Ministrów zakończyła się przypuszczalnie w ten sposób, że Premjer zkolei zapytał Marszałka Sejmu, jak dalece Sejm zdolny jest do pozytywnej pracy nad ewentualnemi projektami rządu.

Sądzimy, że taki właśnie przebieg musiała mieć rozmowa pomiędzy Marszałkiem Sejmu a Premjerem, gdyż bezpośrednio po odbyciu jej Marszałek Sejmu zwrócił się listownie do prezesów klubów sejmowych z wyraźnym zamiarem wysondowania opinji, czy możliwem jest w obecnych warunkach stworzenie większości sejmowej chociażby tylko dla poszczególnych wniosków rządowych, a więc bez umów i układów koalicyjnych.

* * *

TEN KROK MARSZAŁKA SEJMU wywołał bardzo liczne komentarze, przyczem komentatorzy wychodzą z najzupełniej fałszywych założeń, opartych li tylko na czczych domysłach i niczem nie uzasadnionych koncepcjach.

Twierdzi się mianowicie, że poszukiwania za większością Marszałek Daszyński podjął z inicjatywy szefa rządu. Wymyśliwszy sobie taki „pewnik" — dalejże szukać przyczyn i motywów tego **„nawrotu do parlamentaryzmu"** ze strony rządu.

Prasa opozycji prawicowej wylicza aż pięć tych przyczyn. Oto one: 1) **bierny bilans handlowy,** 2) **pomniejszenie dochodów państwowych,** 3) **układy Niemiec z krajami zachodniemi,** 4) **cichy, skromny powrót ministra Zaleskiego z Paryża,** 5) **triumfalne okrzyki prasy niemieckiej, która twierdzi, że Polska w sprawie Nadrenji niema nic do „gadania".**

Wobec tych „nieszczęść" rząd stanął bezradny i nie widzi innego wyjścia, jak tylko pójście do Canossy, uderzenie czołem przed Sejmem. Wypisują więc pisma obozu „narodowego", nieukrywając ani trochę obrzydliwego grymasu „Schadenfreude", że **„czynniki sanacyjne zmieniają nagle front i okazują gorliwą chęć współpracy z izbami ustawodawczemi i że w tym celu posługują się pośrednictwem socjalistów, co wyraźnie wskazuje, iż istnieje zamiar stworzenia t. zw. centrolewu".** I nie posiadają się z zachwytu i radości, że oto nareszcie: **„idzie koza do woza, chociaż się wydawało niektórym politykom, że się to nigdy nie stanie".**

Ożywiło się dzięki temu w szeregach „narodowej" opozycji i w jej prasie. Puszczono tam cugle fantazji i snuje się już różowe nadzieje. Konserwatystom już się miny stroi i figę pokazuje, dając im do zrozumienia, że trzeba będzie drogo zapłacić za przebaczenie...

* * *

MARSZAŁEK DASZYŃSKI bardzo poważnie i z głębokiem poczuciem odpowiedzialności traktuje swoje marszałkowskie stanowisko. Nic dziwnego, żył całe życie parlamentem i z parlamentaryzmem rósł. W parlamencie zdobywał swoje ostrogi polityka i mówcy. W parlament wierzy. Zdaje sobie dokładnie sprawę z powagi sytuacji w Polsce i widzi jasno, że parlamentaryzm polski z rozpiętemi żaglami pędzi na rafy, o które się niechybnie rozbić musi. I w tej najgroźniejszej dla parlamentaryzmu chwili jemu powierzono ster parlamentu polskiego. Któż nie zrozumie, że ten człowiek uczyni wszystko i nie cofnie się przed żadnym trudem ani żadnym wisiłkiem, by ominąć niebezpieczeństwa i ratować parlament! W chwili, gdy w tak ciężkich warunkach ster parlamentu złożono w ręce Daszyńskiego, interes parlamentu stał się dla niego większym, niż nawet interes partji socjalistycznej, z którą takiemi samemi, a może nawet silniejszemi jeszcze węzłami jest związany. Kto uważnie obserwował, dostrzegł to wyraźnie już na samym początku poprzedniej sesji.

W obliczu nowej sesji, która — jeśli do skutku dojdzie — może stać się przełomową dla parlamentu w Polsce, Daszyński pragnie uczynić wszystko, co leży w jego mocy, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo starcia. Pragnie poznać plany rządu w odniesieniu do nadchodzącej sesji, aby aparat sejmowy, o ile to leży w jego mocy, zgóry na najskuteczniejszą pracę przygotować i zapobiec wszystkiemu, coby pracę tę mogło zakłócić i z winy parlamentu uczynić ją niepoważną lub wręcz niemożliwą.

Rząd dotychczas w stosunku do Sejmu kierował się suchym objektywizmem. Przedstawiał swoje postulaty i projekty, motywował je należycie, ale pozatem nie czynił nic, aby dla swoich przedłożeń znaleźć i pozyskać większość. Nie wydarzyło się nic takiego, aby ten stosunek miał się zmienić. Przeciwnie, pomiędzy ostatnią sesją a dniem dzisiejszym jest lipcowe oświadczenie Marszałka Piłsudskiego. Marszałek Daszyński mógł z ust Prezesa Rady Ministrów usłyszeć i zapewne usłyszał tylko wyrazy obawy, że Sejm po ferjach letnich nie będzie bardziej zdolny do rzeczowego i objektywnego ustosunkowania się do polityki i postulatów rządu, niż był przed ferjami. Jest przeto zrozumiałem, że po tej rozmowie pragnął zbadać nastroje w poszczególnych ugrupowaniach sejmowych i — o ile okazałoby się to możliwem — działać w tym kierunku, by jednak powstała w Sejmie większość, która byłaby zdolna do rzeczowej i niezakłócanej antagonizmami politycznemi współpracy z rządem.

Marszałek Sejmu w obecnych warunkach nie mógł inaczej postąpić, a Daszyński musiał tak postąpić. I to wszystko.

* * *

SPRAWA KONSTYTUCJI.

W TYCH DNIACH pojawi się na pułkach księgarskich sensacyjna książka. Jest to, napisana przez Gustawa Olechowskiego, biografja Józefa Piłsudskiego. Rzecz jest napisana z talentem, czyta się jak powieść, niemniej jednak jest to bardzo drobiazgowa i bardzo szczegółowa biografja, w której szczególnie drobiazgowo przedstawione są wszystkie etapy politycznej działalności Marszałka od czasów studenckich do wymarszu kadrowej kompanji z krakowskich Oleandrów. Autor jest miejscami tak szczegółowy, że musiał niezawodnie korzystać z bardzo miarodajnych informacyj, zresztą charakter tej pracy nasuwa przypuszczenie, że nie mamy przed sobą tylko tworu talentu i fantazji literackiej, lecz w dużej mierze dokument historyczny.

Między innemi bardzo trafnie przedstawiony jest w tej książce stosunek Piłsudskiego do otoczenia, do najbliższych swoich współpracowników. Mówimy: trafnie, dlatego że obraz, jaki daje Olechowski w swojej książce, jaknajdokładniej pokrywa się z niektóremi, oświadczeniami Marszałka i z tem, co można było zaobserwować i na co wielu zwróciło uwagę. Piłsudski nie daje sobą powodować. Zdolny jest do wszelkich ofiar dla swoich przyjaciół, współpracowników i bliskich, chętnie ustępuje w drobiazgach i szczegółach, zamyka oczy na drobne błędy i małe rozbieżności, ale główny plan i główny cel wytycza zawsze sam. Ile razy bowiem próbował wtajemniczyć swoje najbliższe otoczenie w tok swoich myśli, zawsze napotykał na tyle rozbieżności i tyle odmiennych zdań, że musiał szukać samotności — sam na sam z sobą rzecz przemyśleć, ustalić wyraźnie główny cel, który należało osiągnąć a potem dopiero wracał i organizował swoich współpracowników do działania. Przez szereg lat był dyktatorem partji socjalistycznej, która karnie i sprawnie pracowała w kierunku przez niego wytyczonym, ale nigdy nie tracił czasu na „uzgadnianie" teoryj marksowskich z dążeniem do odbudowania niepodległej Polski.

Dlatego od najmłodszych lat między nim a otoczeniem, nawet najbliższem, istniał zawsze pewien dystans — dlatego, nawet dla najbliższych swoich współpracowników, był zawsze dyktatorem. Dlatego nikt nie może o sobie powiedzieć, by kiedykolwiek wywarł wpływ na Piłsudskiego i zadecydował o linji jego postępowania, gdy chodziło o cel główny. Jeśli szedł na ustępstwa i kompromisy, to tylko w szczegółach drugorzędnych, aby nie marnować czasu i energji na przewlekłe dyskusje, których nienawidził.

* * *

Niedawno pisaliśmy na tem miejscu o powodzi projektów konstytucyjnych, opracowanych jeszcze w obozie grup współpracujących z rządem, podkreślając przytem, że żadnego z tych projektów nie należy traktować jako autoryzowanego przez rząd lub opracowanego z wiedzą i zgodą Marszałka — właśnie dlatego, że jest ich tak wiele, a niema między nimi ani śladu jakiegoś projektu, którыby wyszedł z łona zespołu z natury rzeczy najbliższego obecnie Marszałkowi, t. j. z łona gabinetu ministrów.

W cytowanej przez nas książce Olechowskiego przedstawionych jest z fotograficzną ścisłością kilka takich momentów, gdy Piłsudski stanął naraz wobec kilku poglądów i planów, reprezentowanych przez swoich towarzyszy i współpracowników. Czynił wtedy zawsze jedno i to samo: uciekał i szukał samotności. A gdy wracał, wracał z własnym planem i już bez żadnej dyskusji przystępował do urzeczywistnienia go, rozdzielając role i dając ścisłe instrukcje.

Czy nie rzuca się tu w oczy zdumiewająca analogja taktyki Marszałka z ostatnich tygodni? Czy wobec tej powodzi projektów konstytucyjnych Marszałek nie zachował się tak samo, jak zachowywał się zawsze, gdy w sprawie, którą postawił na porządku dziennym, spotkał się z różnemi opinjami?

Wyjechał do najspokojniejszej miejscowości Rumunji, która sama także do najspokojniejszych krajów należy, nie zabierając ze sobą żadnego ze swych politycznych współpracowników, ani nawet żadnego z tych, których do wykonywania poleceń i misyj politycznych używa. Pojechał w towarzystwie adjutanta, rotmistrza Ludwiga, oficera, używanego tylko do funkcyj wojskowych.

Sprawa konstytucji — jeżeli już teraz ma się znaleźć na porządku dziennym wypłynie po powrocie Marszałka z Rumunji. A za podstawę reformy lub nowego dzieła służyć będzie plan, który Marszałek sam przedstawi

* * *

PRASA NIEMIECKA.

WIELE HAŁASU narobiły słowa prawdy, wypowiedziane pod adresem prasy niemieckiej przez ministra Zaleskiego. W wywiadzie prasowym minister powiedział bez ogródek i prosto z mostu, że prasa niemiecka, gdy chodzi o sprawy polskie, lubuje się w rozsiewaniu kłamstw i plotek, którym jednak dzisiaj nikt już nie wierzy.

Minister Zaleski wypowiedział te słowa pod wrażeniem dwóch złośliwych i z premedytacją puszczonych w świat przez prasę niemieką kłamstw. Jednem była „informacja" niemiecka" z Paryża, donosząca, że po powrocie z Genewy minister Zaleski starał się w Paryżu bezskutecznie o konferencję z Briandem i że wnioskować należy z tego, iż Francja nie zechce prawdopodobnie dopuścić Polski do głosu przy rokowaniach o ewakuację Nadrenji, a drugiem, tej samej wartości, „informacja" z Warszawy, że w najbliższych dniach należy spodziewać się w Polsce przesilenia gabinetowego i większych zmian w dotychczasowym składzie rządu.

Obie te informacje są tak widocznie wyrazem najgorętszych pragnień niemieckich, że szkoda każdego słowa na wykazywanie ich kłamliwości. Tok, jaki w Genewie nadano sprawie przedterminowej ewakuacji Nadrenji, jest dla Niemiec bardzo bolesną porażką. Z pierwszych odruchów w Berlinie widać było jak bardzo zabolała Niemców ta decyzja genewska. To też rząd socjalistyczny Müllera robi wszystko, by fiasco butnych nadziei jako tako zatrzeć i gorzką pigułkę osłodzić. Pociesza się więc opinję niemiecką zapewnieniami, że to nie Niemcy, lecz Polska, doznała porażki, bo zapewne nie zostanie dopuszczona do udziału w konferencji ewakuacyjnej.

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

Minister Zaleski pozostawał z Briandem w ciągłym kontakcie przez kilkanaście dni w Genewie. W Paryżu, w drodze powrotnej, spotkania z nim nie szukał. Skorzystano z tego i puszczono w świat kłamstwo o niedojściu do skutku spotkania pomiędzy Zaleskim a Briandem w Paryżu, by poprawić nastrój w Berlinie na powrót Müllera. Aby rzecz wyglądała prawdopodobnie i aby czasem jakiś rozsądniejszy Niemiec nie zwietrzył blagi, zażądano pomocy od kompatrjotów z Pragi czeskiej. Zamówienie zostało natychmiast wykonane. W „Prager Presse" ukazała się depesza z Warszawy, donosząca o bliskim kryzysie gabinetowym w Polsce. Teraz już Niemcy napewne uwierzą — przesilenie gabinetowe to przecież oczywisty skutek niepowodzenia w Paryżu. A oprócz Niemców uwierzy także wielu Polaków — już się tam w Polsce znajdzie prasa, która odpowiednio wykorzysta intrygę niemiecką. I oczywiście znalazła się.

Prasa niemiecka „oburza" się obecnie na zarzut kłamstwa z ust ministra Zaleskiego, a gremjum niemieckich korespondentów w Warszawie urządziło demarche w wydziale prasowym naszego ministerstwa spraw zagranicznych, składając „notę" protestującą przeciw zarzutom i przeciw zapowiedzianym przez rząd represjom wobec nadużywających polskiej cierpliwości dziennikarzy zagranicznych.

Spodziewać się należy, że „nota" niemieckich dziennikarzy znalazła się już w koszu i że zapowiedź represyj sumiennie będzie zrealizowana. Nie mamy bowiem ani obowiązku ani ochoty pozwolić na to, by naszym kosztem ratowali swoją opinję i stanowisko tacy czy inni politycy niemieccy.

* * *

W ZAKOPANEM.

W organie Związku Narodowego Polskiego w Ameryce, w czasopiśmie „Zgoda", znajdujemy wrażenia z wycieczki, jaką grupa członków tego związku w liczbie 200 osób odbyła tego lata do Polski. Miłe rzeczy napisano tam o Zakopanem:

„W Zakopanem nie obeszło się bez przepraw rozmaitych. Dorożki zakopiańskie są dziełem górali, i każdy taki gazda uważał sobie za punkt honoru obedrzeć przybyłych Amerykanów za przewiezienie z dworca do pensjonatu. Niektórym policzono za pięciominutową jazdę wolnym truchcikiem po dolarze.

I sam komitet miejscowy przyjęcia wycieczki za wszystko kazał sobie płacić więcej, aniżeli płacili inni letnicy, czy wycieczkowicze. Naprzykład opłata za przejazd autobusem do Morskiego Oka wynosi dla wszystkich 9 złotych, wycieczce związkowej policzono jednak 11 złotych. Za przejazd prywatnym autobusem do Morskiego Oka płaci się po 11 do 12 złotych, związkowcom jednak policzono po 15 złotych. Nie chodzi naturalnie o tych parę złotych różnicy, bo kogo stać na przyjazd z Ameryki do Polski, ma na zapłacenie więcej niż inny, ale nasi wycieczkowicze czuli się rozgoryczeni widocznem jaskrawem różniczkowaniem, którego nie zauważono nigdzie przedtem. A pozwalano sobie na to na każdym kroku, a gdy przychwycono ich nieraz na gorącym uczynku, tłumaczyli się zakopiańscy byznesiści, że sezon trwa krótko, kilka miesięcy, więc muszą zarobić.

Tak więc wyróżniono nas w Zakopanem wyższemi rachunkami i gorszą usługą. Rozgoryczyło to naszych wycieczkowiczów do tego stopnia, że zapowiedzieli gorącą agitację po powrocie do Stanów Zjednoczonych, aby wszystkie wycieczki w przyszłości Zakopane omijały.

Następnego dnia, a była to niedziela, 15 lipca, spano długo i tylko nieliczna gromadka naszych młodych pań zebrała się wczas i pośpieszyła do kościoła farnego na nabożeństwo. Jedna partja związkowców i związkowczyń o godzinie 9-ej rano wyruszyła autobusami do Morskiego Oka, druga wyjechała o 3-ciej po południu. Powstały niesnaski i kłótnie, gdy właściciele autobusów nie chcieli przyjąć na wycieczkę popołudniową osób, które miały bilety na wycieczkę ranną, żądając od nich jeszcze jednej zapłaty za bilet. Poniedziałek przeszedł na zwiedzaniu Zakopanego, wycieczce do doliny Kościeliskiej i na czynieniu zakupów. Z racji przybycia wycieczki związkowej ceny wielu artykułów podskoczyły w górę, szczególnie za sprzęty góralskie.

Pobieżnie indagacje stwierdziły że wycieczka Z. N. P. zostawiła w dwuch dniach pobytu w Zakopanem minimalnie 2000 dolarów, które aktualnie wymieniono na złote, nie licząc naturalnie tych tysięcy złotych, które wydano, a które uzyskano z wymiany czeków we Lwowie czy Warszawie.

O ile o Warszawie mówi każdy z naszej wycieczki mile, o Lwowie ze łzą w oku i z uznaniem, to o Zakopanem — ze skrzywieniem nosa".

Na tle wypadków łódzkich

Pod tytułem powyższym „Epoka" z dnia 27 b. m. zamieściła artykuł p. Adrosa. Ten tytuł w tem piśmie kazał spodziewać się ostrego ataku na przemysł. I może naprawdę jako taki był zamierzony, lecz z jednej strony zwykły poziom tego autora, z drugiej zaś niezwykłe zupełnie u niego: brak konsekwencji, szereg sprzeczności, chaotyczność argumentacji i całkowita niedostateczność informacyj — sprawiły, że uderzenie tym razem chybiło. Niepodobna oszczędzić p. Adrosowi zarzutu, że nie był usposobiony w chwili pisania tego artykułu.

Tak tedy najprzód dla p. Adrosa „motywy, które spowodowały wybuch zeszłotygodniowego strajku, który w ciągu 48 godzin niemal zamienił się w straj generalny... mają tylko drugorzędne znaczenie", wobec czego „na baczniejszą uwagę, niż badanie ze szkiełkiem w oku, czy regulaminy były, czy nie były zgodne z literą lub duchem ustawy" zasługuje jego zdaniem niezapoznawalny dowód olbrzymiego rozgoryczenia mas robotniczych.

Tak ujmując zagadnienie, p. Adros stosuje w tym wypadku metody dedukowania przyczyn ze skutków: mniejsza o motywy, skoro sama sprzeczność wybuchu „strajku generalnego" wykazuje, że ważne są nie one, lecz ogólne rozgoryczenie, stanowiące podatne podłoże. I może nawet miałby pewną słuszność tak rozumować, gdyby strajk był naprawdę spontaniczny i gdyby był generalny. Tu jednak informacje p. Adrosa szwankują bardzo dotkliwie. Bo ani nie można mówić o spontaniczności strajku, który w poszczególnych zakładach przemysłowych rozpoczął się już na dwa tygodnie wcześniej. w niektórych gasł sam z siebie po 2—3 dniach, w innych trwał po 6 dni i dłużej, jeszcze w innych rozpoczął się o tydzień później, w bardzo wielu zaś nie wybuchnął wcale do samego końca; ani też nie można nazywać generalnym strajku, który nie objął wszystkich jednostek wytwórczych, a w tem i bardzo wielkich. Wprost przeciwnie: może jeszcze nie było na terenie łódzkim strajku, tak trudno i mozolnie wywołanego, jak właśnie ten, i żaden jeszcze nie był tak bardzo pozbawiony cech spontaniczności. Dowód: kiedy w licznych fabrykach, które jednocześnie wywiesiły regulaminy, robotnicy porzucili pracę, w innej, jednej z największych, właśnie do pracy powrócili.

Gdy więc upadają przesłanki, oparte na przeistoczeniu się strajku w generalny w ciągu 48 godzin, lub nawet, jak powiedziano w innem miejscu artykułu, „z godziny na godzinę" — to tem samem utrzymać się nie daje zastosowana przez jego autora metoda rozumowania, według której motywy mają znaczenie drugorzędne. I to tem mniej, iż p. Adros sam przecie mówi o „błahym powodzie". Jakże błahym wydałby mu się on dopiero, gdyby wiedział o tem, że regulaminy i tabele kar, w dodatku surowsze od ostatnio wywieszonych, już od 1925 r. wisiały i obowiązywały w licznych fabrykach, w których teraz, po 3 latach, sama tylko zamiana tych przepisów porządkowych na inne, **złagodzone przez nową ustawę,** wywołała porzucenie pracy. A im bardziej błahym był powód, tem mniej drugorzędną wydawać się musi tak poważnemu obserwatorowi i okoliczność jego sprzeczności, lub zgodności z prawem, i warunki, które do wybuchu doprowadziły. I jeżeli autor artykułu sam powiada, iż „trudno o lepszy dowód, że wywołany on był nie taką czy inną redakcją regulaminów, lecz posiada przyczyny o wiele głębsze i poważniejsze", a dalej stwierdza, że „dziś komuniści wypierają socjalistów" — to naprawdę niepodobna nie dziwić się łatwości, z jaką całą winę zwala tylko na rzekomo wezbrane w masach robotniczych rozgoryczenie, zamiast szukać jej w źródle, na które sam tak wyraźnie wskazuje.

Nie może też ulegać najmniejszej wątpliwości, że gdyby tak był zrobił, to nie byłby napewno z taką lekkomyślnością zepchnął na plan ostatni tej jakoby tak bardzo obojętnej kwestji, czy zachodził tu, czy też nie, konflikt z prawem. Zdaje nam się wprost przeciwnie, że zwłaszcza wobec tych warunków, które p. Adros sobie najwidoczniej uświadamia, ale których tym razem jakoś nie chce domyśleć do końca, unikając stawiania kropek nad „i", bardzo poważne zastanowienie się nad tem, że jedną ze stron w tym sporze było obowiązujące prawo, a drugą albo robotnicy, albo przemysłowcy, nabiera znaczenia zgoła pierwszorzędnego. P. Adros, mimo podkreślonej tak mocno i kilkakrotnie, drugorzędności tej strony zagadnienia, decyduje się jednak na orzeczenie, że stroną obrażającą prawo był w tym wypadku przemysł. Wspomniawszy bowiem o możliwem „jednostronnem podkreśleniu, czy rozdmuchaniu specjalnych przepisów karnych", wyraża domniemanie, że na tem chyba polegać musiało pogwałcenie prawa, skoro władze kazały regulaminy wycofać. Więc albo nie wie, albo nie chce wiedzieć o tem, że regulaminy te i tabele kar były już tej władzy znane i przez nią w wielu wypadkach zatwierdzone; że komunikat urzędowy sam o tem wspomina; że mowa jest w nim tylko o kilku punktach w tabeli kar, rzekomo z prawem niezgodnych; że jednak mimo upływu tygodnia nikt jeszcze nie dowiedział się, na czem ta niezgodność polega i których mianowicie kilku punktów dotyczy; że niezgodność kilku punktów w tabelach kar mogła zostać usunięta przez proste wykreślenie ich i nie wymagała wycofania całych tabel, a zwłaszcza także regulaminów. Czyżby wszystko to naprawdę było aż tak bardzo obojętne? Więcej jeszcze: czy ten wybrany przez władzę sposób zakończenia zatargu nie był raczej najbardziej opacznym i dla powagi i prestiżu prawa groźnym?

Rezygnujemy z rozstrząsania tego zapytania nie dla braku argumentów, lecz dlatego, że poddawanie go dyskusji publicznej uważamy za wyraźnie przeciwwskazane.

W krótkim swym artykule p. Adros nagromadził tak obszerny indeks ciężkich zarzutów przeciwko przemysłowi łódzkiemu, że nie możemy się kusić o udowodnienie całej ich bezpodstawności i gołosłowności, gdyż wymagałoby to nie jednej, ale szeregu obszernych rozpraw. Poprzestać zatem musimy na kilku odpowiedziach, równie lapidarnych i równie nieskoordynowanych, jak same zarzuty, wyrzekając się jednak replikowania na niedorzeczny aforyzm „pewnego cudzoziemca", cytowany przez p. Adrosa.

Jeżeli więc mówi on o „podatku inflacyjnym", to odpowiadamy, że przemysł włókienniczy usiłował najgorliwiej możliwie zaoszczędzić go robotnikowi, skoro w r. 1922 podwyższył płace 9 razy, a w 1923 — 18 razy. Jeżeli nazywa przemysł łódzki „oranżeryjnym produktem rosyjskiej polityki gospodarczej" — to zawodzi go znajomość historji powstania i rozwoju tego przemysłu. Jeżeli twierdzi, że „dotychczas nie zrobiono nic, aby stosunki w przemyśle łódzkim pod kątem widzenia społecznym unormować i uzdrowić", to mu przypominamy, że przemysł łódzki był pierwszym w Polsce, który już w roku 1919 wszedł na drogę taryfowych umów zbiorowych i pierwszym, który płace robotnicze, jeszcze za czasów markowych, ustabilizował. Jeżeli narzeka, że ciągłość i równomierność pracy jest niezadowalająca, w czem ma pewną dozę słuszności, to jednak od połowy roku 1926 objaw ten, w wielkim przemyśle przynajmniej, niemal całkowicie zanikł i nawet w kryzysowym okresie r. b. miał rozmiary nad podziw minimalne — a zresztą żadną miarą nie można winić za to przemysłu. Jeżeli z całą słusznością biada nad nadmierną produkcją w pewnych okresach, to powinien wiedzieć, że organizacje przemysłowe oddawna już daremnie kołatają u władz o udaremnienie tego stanu rzeczy przez zastosowanie sankcyj prawnych. Jeżeli gani niedomagania organizacyjne, to nie wolno mu uważać regulaminu pracy i tabel kar za rzecz tak bardzo błahą, bo są one podstawowemi czynnikami organizacyjnemi. Jeżeli wreszcie wspomina problemat mieszkaniowy — to właśnie w Łodzi przemysł przystąpił do zapoczątkowania rozwiązania go przez budowę domków robotniczych.

Pozostaje zagadnienie organizacji produkcji. Dużoby o tem mówić i nie tu miejsce na to. Że brak tej organizacji stanowi poważną i nader dotkliwą lukę — to nie ulega wątpliwości. Natomiast bardzo się musi wydawać wątpliwem, czy właśnie p. Adros ma powód do domagania się tego. Jeżeli kto — to tylko przemysł sam najgorzej na nieistnieniu jej wychodzi, najmniej zaś cierpi na tem i konsument i robotnik: pierwszy, bo wzmożona podaż oddziaływa zniżkowo na ceny, drugi, bo nietamowana umowami produkcja zapewnia mu obfitsze zarobki. Nie spierając się zatem w tym punkcie z p. Adrosem co do zasady samej, obawiamy się jednak, że inaczej niż on ujmujemy to zagadnienie i jedynie możliwy życiowy sposób jego rozwiązania. W pewnej mierze traktuje o tem inny artykuł w dziale gospodarczym niniejszego numeru.

Z. W.

10 lat rozbrajania

Tak jest, 10 lat upłynęło od chwili, gdy wojujące narody uznały, że dość już spustoszenia, zgliszcz i trupów. Wojnę przeklęto i przyrzeczono sobie uroczyście nie niszczyć i burzyć, lecz budować i wznosić. Pacyfizm triumfował. Zasadę „si vis pacem para bellum" uznano za błędną. Wskazno na to, że liczna i dobrze uzbrojona armja chroni wprawdzie przed napaścią sąsiadów, lecz przyczynia się jednocześnie do wzrostu ducha militarnego w narodzie, rodzi pragnienie podbojów i pcha do wojen napastniczych, do łupienia i ograbiania państw sąsiednich. Zgodzono się z Kantem, który w swoim „Philosophischer Entwurf zum ewigen Frieden" wskazuje na rozbrojenie armji stałych, jako na jeden z kardynalnych warunków pacyfikacji świata. To też oświadczono w art. 8 statutu Ligi Narodów, że „utrzymanie pokoju wymaga ograniczenia zbrojeń" i polecono Radzie opracować projekty wprowadzenia tego w życie.

I cóż widzimy?

Po 10-ciu latach tego rozbrajania Briand z trwogą wskazuje na możliwości militarne „rozbrojonych" Niemiec, a aparaty telegraficzne wystukują coraz to inne wiadomości o wspaniałych manewrach angielskiej wojennej floty lotniczej, o budowie nowych pancerników, o zbrojeniu się Rosji, o próbach sprawności potężnych armij poszczególnych państw, o fabrykowaniu gazów trujących i duszących dla celów „naukowych" itd., itd.

Wyścig zbrojeń trwa w całej pełni.

Co tedy uczyniono aby temu zapobiec w ciągu tych 10-ciu lat opamiętania się po strasznych skutkach ostatniej wojny?

Jak wygląda owo rozbrojenie w świetle postanowień i przepisów prawa międzynarodowego?

Wspomniany już art. 8 statutu Ligi Narodów obok tego, że poleca Radzie opracować plany ograniczenia zbrojeń, które zresztą byłyby tylko wskazówkami dla poszczególnych Rządów, a nie obowiązującem prawem, zawiera jeszcze zasadę „jawności zbrojeń". Członkowie Ligi zobowiązują się do „udzielania sobie wiadomości, dotyczących stopy swych zbrojeń, programów wojskowych, morskich i lotniczych, oraz stanu tych gałęzi przemysłu, które mogą być przystosowane do celów wojennych". Jak teoretycznemi są jednak te postanowienia, świadczy choćby fakt istnienia tajnych konwencyj wojskowych, wskutek których nie sposób jest określić, jakiemi zasobami wojennemi rozporządza dane państwo.

Ograniczeniem zbrojeń morskich zajmowała się konferencja waszyngtońska z roku 1921, zwołana przez Stany Zjednoczone. Umowa, podpisana dnia 6 lutego 22 r., wskazująca okręty linjowe, mające być zniszczone względnie zachowane, nie została ratyfikowana przez wielkie mocarstwa, nie uzyskała zatem mocy obowiązującej.

Niemniej bezskuteczne były pozostałe konferencje i zjazdy.

Żadnych rezultatów nie dały narady, które miały miejsce z inicjatywy Rosji w Moskwie w r. 1922. Konferencja rozbrojeniowa zaś, która miała się odbyć w Genewie, w r. 1925, nie doszła wcale do skutku. Wreszcie narady Anglji, Stanów Zjednoczonych i Japonji, odbyte w Genewie w roku 1927, a zajmujące się częściowem rozbrojeniem na morzu również nie dały pozytywnego wyniku.

W ciągu 10-ciu lat zatem społeczność międzynarodowa nie zdobyła się na żadne postanowienie, ograniczające lub zmniejszające zbrojenia. Rywalizacja na polu organizowania potężnych armij, tworzenia wojennych flot powietrznych i morskich, wynajdywania najstraszliwszych i najskuteczniejszych narzędzi mordu przybiera coraz bardziej na rozmiarach, a przygotowania do okropnej wojny chemicznej i bakterjologicznej trwają w całej pełni.

Bilans 10-ciu lat rozbrajania naprawdę nie jest pocieszający i zawiera groźne memento na przyszłość.

I. Finn.

ZAGRANICA

PRZEGLĄD SPRAW ZAGRANICZNYCH

WIELKA RADA FASZYSTOWSKA.

Włoska Rada Ministrów uchwaliła ostatecznie i przyjęła ustawę o **Wielkiej Radzie Faszystowskiej.**

Wielkiej Radzie Faszystowskiej przewodniczy Mussolini. Rada ta jest nietylko najwyższą instancją partyjną, która ma czuwać nad tem, aby zdobycze rewolucji faszystowskiej pozostały w niczem nieuszczuplone a ponadto jest także **najwyższą instancją we wszystkich sprawach politycznych, gospodarczych i społecznych,** które mają ogólno-narodowe znaczenie. Sprawy te przedkłada Wielkiej Radzie rząd.

Wielka Rada składa się z przewodniczących Izby i Senatu, z ministrów, najwyższych dostojników partji faszystowskiej, wiceministrów — wchodzi do niej ponadto szef sztabu milicji faszystowskiej, sekretarz generalny i wicesekretarze partji, prezesi syndykatów faszystowskich oraz prezydent trybunału państwowego dla ochrony rewolucji. Mussolini ma prawo powoływania do Rady **według** swego **uznania** osobistości, wybitnie zasłużone dla narodu.

Członkowie Rady korzystają z najzupełniejszej nietykalności i tylko za zezwoleniem Rady może być przeciw nim wytoczone dochodzenie lub śledztwo.

Według artykułu siódmego ustawy o Wielkiej Radzie instytucja ta **decyduje o kandydaturach do parlamentu** i opinja jej jest obowiązująca we wszystkich sprawach, związanych z konstytucją. Poza tem Rada decyduje o wszelkich aktach, odnoszących się do następstw tronu i kompetencyj panującego. Wielka Rada posiada wreszcie w swej kompetencji sprawy, związane ze **stosunkiem państwa do kościoła** oraz z zawieraniem **umów międzynarodowych.**

Posiedzenia Wielkiej Rady są tajne. Żaden z jej członków, wybieranych, powoływanych na trzy lata, **nie otrzymuje wynagrodzenia** za swe czynności w Radzie. Godność członka Rady odpowiada godności senatora lub posła do parlamentu.

* * *

W ten sposób położona została **ostatnia cegła do nowego ustroju włoskiego.** Włochy faszystowskie posiadać będą sejm i senat, powoływany do pewnego stopnia przez powszechne głosowanie, gdyż lista kandydatów zaaprobowana przez Wielką Radę poddawana będzie powszechnemu głosowaniu i upada, jeśli nie padnie na nią większość oddanych głosów. Ale nad sejmem i senatem czuwać będzie Wielka Rada Faszystowska **o kompetencjach prawie nieograniczonych,** gdyż poza sprawami, oddanemi przez ustawę do jej kompetencji, powołana jest do decydowania o wszystkich sprawach politycznych, gospodarczych i społecznych, mających ogólnonarodowe znaczenie. Czyli każda sprawa, co do której w sejmie lub senacie powstanie różnica zdań, rozstrzygana będzie przez Wielką Radę. Szef rządu będzie jednocześnie przewodniczącym Wielkiej Rady. Wynika z tego, że **szef rządu posiadać będzie nadal nieograniczoną władzę dyktatorską,** trudno bowiem przypuszczać, że w łonie Rady znajdzie **kiedykolwiek** jakąś opozycję.

Nowy ustrój włoski **przypomina** do pewnego stopnia **ustrój sowiecki,** gdzie także istnieje coś w rodzaju Wielkiej Rady, mianowicie t. zw. WCIK, czyli naczelna instytucja partji komunistycznej. Tylka, że prezes WCIK'a nie jest tam jednocześnie przewodniczącym rady komisarzy ludowych, t. j. szefem rządu. W dużym stopniu **ustrój włoski przypomina ustrój kościoła katolickiego.** Wielka Rada Faszystowska, to jakby kollegium kardynalskie, którego głowa jest jednocześnie głową kościoła.

Rola korony zepchnięta została zupełnie w cień i również podporządkowana Wielkiej Radzie. **Włochy w gruncie rzeczy stały się republiką.**

* * *

ZAGADNIENIE ROZBROJENIA.

Obradujące jeszcze w Genewie Zgromadzenie Ligi Narodów zajmowało się w ostatnich dniach także sprawą rozbrojenia. Jak wiadomo, jednem z zadań Ligi Narodów jest doprowadzenie do zebrania się międzynarodowej konferencji rozbrojeniowej. W tym celu w łonie Ligi Narodów czynna jest specjalna komisja, t. zw. „Komisja przygotowawcza dla konferencji rozbrojeniowej". Sprawozdanie tej komisji stanowi co rok temat rozpraw na sesji Zgromadzenia Ligi.

Od dłuższego czasu jednak komisja przygotowawcza nie daje wiele znaków życia i pracy. Sprawa rozbrojenia utknęła na martwym punkcie i zapewne nierychło ruszy z miejsca. W łonie komisji przygotowawczej, a zatem także i w łonie Ligi Narodów panują dwa poglądy na tę sprawę i niema nadziei, aby poglądy te dało się w bliskiej przyszłości uzgodnić. Anglja, Francja, a z nimi także większość pozostałych państw, a więc przygniatająca większość członków Ligi Narodów, jest zdania, że przed rozbrojeniem należy doprowadzić do tego, aby zaistniał w Europie stan bezpieczeństwa, aby żadne państwo nie musiało żywić obaw, że — gdy się rozbroi — może paść ofiarą jakiegoś sąsiada napastnika. Większość ta pragnie pracami komisji przygotowawczej pokierować w ten sposób, aby najpierw komisja ta zajęła się opracowaniem systemu bezpieczeństwa, a potem dopiero przystąpiła do problemu rozbrojenia.

System bezpieczeństwa różne państwa różnie sobie wyobrażają. Jedne widzą dostateczne bezpieczeństwo w traktatach locarneńskich i żądają rozszerzenia ich na wszystkie państwa europejskie, inni proponują nieco odmienne traktaty arbitrażowe i gwarancyjne. Pozatem wysuwana jest kwestja solidarności członków Ligi wobec napastnika przez uroczyste zobowiązanie się wszystkich państw do pośpieszenia z pomocą zaatakowanemu.

Sprawa jest tak powikłaną, że nawet najprzewleklejsze dyskusje nie prowadzą nigdy do żadnych konkretnych rezultatów. Jedna spraw pociąga za sobą drugą, ta wymaga nowego omówienia, przyczem znowu występują nowe kwestje i tak w nieskończoność.

Drugi pogląd reprezentowany jest głównie przez Niemców, a zbliżony do koncepcji sowieckiej. Według tej koncepcji należy przedewszystkiem przystąpić do zaganienia rozbrojenia: zwołać konferencję rozbrojeniową i skłonić państwa jeśli już nie do całkowitego rozbrojenia, to przynajmniej do bardzo wydatnego ograniczenia zbrojeń. Kwestja bezpieczeństwa i gwarancyj traktowana jest przez przedstawicieli tego poglądu dość niejasno.

Większość Ligi koncepcję tę odrzuca, motywując to tem, że orędownicy tego planu, t. j. Rosja sowiecka i Niemcy stanowią właśnie największą przeszkodę na drodze do rozbrojenia, gdyż z jednej strony same się zbroją gorączkowo, a z drugiej strony niedwuznacznie dają do zrozumienia, że obecnego stanu rzeczy w Europie nie uznają i dążyć będą do zmian, nawet przy pomocy siły zbrojnej Istnieją przeto podstawy do posądzenia ich o nieszczerość i do nieufności wobec ich projektów rozbrojeniowych.

Obecna sesja Zgromadzenia w tej materji nie przyniosła nic nowego. Do Niemiec przyłączyły się jeszcze Węgry i Austrja i wycofały się z obrad rozbrojeniowych. Rosja sowiecka zaś wogóle zaproszenia do udziału w obradach nie przyjęła. W tym stanie rzeczy nadzieja, iż kiedyś wreszcie zbierze się konferencja rozbrojeniowa, jeszcze bardziej się zmniejszyła.

* * *

POROZUMIENIE ANGIELSKO-FRANCUSKIE.

Swego czasu pisaliśmy o układzie francusko-angielskim, który doszedł do skutku w przededniu podpisaniu paktu Kelloga. Szczegóły tego układu trzymane były w tajemnicy, gdyż chodziło o układ ściśle wojskowy, przewidujący współdziałanie flot wojennych angielskiej i francuskiej oraz flotyl powietrznych tych państw na wypadek wojny.

Układ ten przyczynił się do silnego naprężenia stosunków pomiędzy Anglją a Ameryką. Znalazło to swój wyraz w demonstracyjnem ominięciu Londynu przez Kelloga w czasie jego pobytu w Europie i w jeszcze bardziej demonstracyjnej jego wizycie w Dublinie, stolicy wolnego państwa Irlandzkiego, połączonego z Anglją tylko węzłem dynastji. Stany Zjednoczone chciały w ten sposób podkreślić, że w razie potrzeby nie zawahają się przeciągnąć na swoją stronę niektóre z dominjów angielskich.

Francuskie ministerstwo spraw zagranicznych rozesłało do ambasad francuskich w stolicach wielkich mocarstw tajny, szyfrowany okólnik, zawiadamiający ambasadorów o najważniejszych punktach układu, zawartego z Anglją i zawierający instrukcje, w jaki sposób mają o układzie tym informować rządy, przy których są akredytowani. Jeden z egzemplarzy tego tajnego okólnika dostał się w sposób dotychczas niewyjaśniony do redakcji pewnego dziennika amerykańskiego i został natychmiast na łamach tego dziennika opublikowany.

W pierwszej chwili chciano wszystkiemu zaprzeczyć i dokument, opublikowany przez dziennik amerykański uznać za fałszerstwo. Jednakże oficjalne dementi ani z Londynu, ani z Paryża się nie pojawiło. Zdaje się przeto nie ulegać wątpliwości, że dokument jest autentyczny.

Układ francusko - angielski jest typowym aktem tajnej dyplomacji, aktem zawartym pomiędzy sztabami generalnymi Anglji i Francji i nie podlegającym ratyfikacji przez ciała ustawodawcze. Obok punktów, odnoszących się do sposobu współdziałania flot morskich i powietrznych obu państw na wypadek wojny, zawiera on także wytyczne dla obu państw, odnoszące się do sprawy ograniczenia zbrojeń na morzu. Wynika z nich wyraźnie, że ani Francja ani Anglja nie myślą na serjo o rozbrojeniu, względnie o ograniczeniu budowy statków wojennych i zdecydowane są oprzeć się inicjatywie Stanów Zjednoczonych w tym kierunku. Gotowe są zgodzić się na redukcję wielkich statków bojowych i na ograniczenie dalszej budowy takich statków, ale pragną mieć wolną rękę w powiększaniu floty statków mniejszych i łodzi podwodnych. A o ograniczenia w tej dziedzinie chodziło głównie Ameryce na ostatniej konferencji morskiej w Genewie, która — jak wiadomo— nie doszła do skutku, gdyż Francja wogóle odmówiła udziału w niej.

Spodziewają się, że rząd angielski będzie miał poważne trudności na terenie parlamentarnym z powodu tego układu i że układ ten zostanie unieważniony. Ameryka ze swej strony zapowiada, że wobec porozumienia morskiego francusko-angielskiego zdecydowana jest realizować swój wielki plan zbrojeń morskich, obejmujący, jak wiadomo, budowę dwudziestukilku pancerników o pojemności do 10 tys. tonn, t. j. właśnie najbardziej nowoczesnych, mniejszych i bardzo szybkich statków wojennych.

* * *

KATASTROFA W MADRYCIE.

W długim łańcuchu przerażających i niszczycielskich katastrof, które prześladują ludzkość w tym roku, do najstraszniejszych zaliczony będzie pożar teatru „de Novedades" w Madrycie.

W niedzielę, 23 września, odbyło się w „Theatro de Novedades" w Madrycie przedstawienie popołudniowe. Około godziny 8-ej wieczorem, tuż przed końcem przedstawienia, w środku sceny baletowej, do której użyto lasek, zaopatrzonych w małe elektryczne żarówki, nastąpiło na scenie krótkie spięcie. W całym gmachu zgasło światło elektryczne, a równocześnie ze sceny buchnęły płomienie i kłęby dymu. W teatrze znajdowało się trzy tysiące kilkaset osób. Publiczność z parteru i lóż parterowych rzuciła się natychmiast do nielicznych wyjść, z trudem trafiając do nich, gdyż — jak się okazało — światło rezerwowe, oświetlające wyjścia, było zepsute i nie funkcjonowało. Powstała okropna panika. Bohatersko zachowała się orkiestra, która nie przerwała muzyki, pragnąc uspokoić publiczność. Przy dźwiękach marsza, w obłędnym popłochu, tłoczono się do wyjść. Później odnaleziono zwęglone szczątki prawie wszystkich członków orkiestry.

Wyjścia z budynku teatralnego na ulicę prowadziły przez długie, wąskie i ciemne tunele, do których wpadały schody z sześciu pięter widowni. To też publiczność z parteru, która pierwsza wpadła do tuneli, przeważnie się uratowała, podczas gdy widzowie z górnych pięter nie zdołali opuścić teatru.

Teatr był drewniany, scena nie posiadała żelaznej kurtyny. To też pożar ze sceny przerzucił się błyskawicznie na widownię, ogarniając jeden po drugim rzędy foteli i krzeseł. Widownię napełnił duszący i gryzący dym. W tem piekle działy się potworne rzeczy. Ludzie z czwartego, piątego i szóstego piętra skakali na parter, nie bacząc na to, że skok taki musi być śmiertelny. Padali przeważnie w płomienie i ginęli na miejscu. Mnóstwo ludzi zostało zadeptanych i zaduszonych w tłoku. Po kilkunastu minutach, zanim jeszcze pojawiła się na miejscu katastrofy straż ogniowa, runęło drewniane sklepienie widowni, grzebiąc setki ludzi, którzy nie zdołali wyjść.

Oddziały straży ogniowej musiały bezczynnie patrzeć na katastrofę. Dostęp do gmachu był niemożliwy, gdyż zewsząd otaczały go budynki. Ograniczono się więc tylko do zabezpieczenia sąsiednich zabudowań przed ogniem, co tylko częściowo się udało.

Katastrofa pogrążyła miasto w żałobę. Niemal w każdym domu opłakiwano kogoś lub drżano o czyjeś życie.

Liczba ofiar jest wielka. Ogółem ucierpiało przesło 700 osób, a w tem prawie 100 osób zginęło w płomieniach.

* * *

NIEURODZAJ W ROSJI SOWIECKIEJ.

Obecnie już można stwierdzić, że Rosja sowiecka nawiedzona została w tym roku częściowym nieurodzajem. W wielu okolicach, jak np. w gubernji Chersońskiej, zbiory równają się zeru i okolicom tym grozi wręcz klęska głodowa. Rząd Ukrainy sowieckiej już teraz powziął uchwałę wszczęcia akcji ratowniczej w obwodach, dotkniętych nieurodzajem. Na dożywianie dzieci i ludności w tych obwodach wyasygnowano miljon rubli.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Rosja w tym roku nie będzie mogła wywieźć ani jednego wagonu zboża. Będzie dobrze, jeżeli przy odpowiednim podziale zbiorów uda się jej przeżywić własną ludność do nowych żniw. Niezmiernie trudnym problemem staje się sprawa zasiewów zimowych. w okolicach, dotkniętych nieurodzajem. Wydaje się bowiem niemożliwem. aby na czas zdołano dowieść do tych okolic potrzebne na zasiew ilości ziarna.

Wobec złego tegorocznego urodzaju położenie Rosji sowieckiej staje się nie do pozazdroszczenia. Już w tym roku miała Rosja duże kłopoty żywnościowe i musiano uciekać się do rekwizycji zboża u chłopów, aby jakotako wyżywić miasta. Ludność miejska odczuwa brak zboża od wielu miesięcy. Chleb jest z tygodnia na tydzień gorszy, a cena jego rośnie. Miasta odczuwają także brak innych produktów wiejskich, jak jaj, masła, mięsa itp., gdyż wobec braku zboża zwiększyło się na wsi bardzo silnie spożycie tych artykułów.

Bilans handlowy Rosji wykazuje od października ubiegłego roku deficyt, który urósł już do sumy 140 miljonów rubli złotych, przyczem eksport zmniejszył się tylko o 20 milj. rubli, niedobór przypada przeto prawie całkowicie na zwiększony import i to głównie artykułów spożywczych. Rząd sowiecki spodziewał się, iż z tegorocznych zbiorów uda się uzyskać 150 miljonów rubli przez wywiezienie odpowiedniej ilości żyta. Nadzieja ta zawiodła całkowicie. Należy przeto liczyć się z tem, że Rosja w zimie znajdzie się wobec poważnych trudności gospodarczych.

* * *

SPRAWA JAKUBOWSKIEGO.

Dzisiaj już nie ulega wątpliwości, że Jakubowski został w swoim czasie niewinnie skazany i stracony przez sąd meklenburski. Wprawdzie komisja śledcza powołana dla skontrolowania ówczesnego materjału dowodowego, orzekła, iż Jakubowski nie był winny morderstwa, popełnionego na przybranem jego dziecku, ale istnieją poszlaki, iż był współwinnym — jednak dochodzenia prowadzone przez dawnego jego obrońcę oraz przez adwokata, który na zasadzie pełnomocnictwa ojca Jakubowskiego, zamieszkałego w Wileńszczyźnie, prowadzi akcję rewizyjną, wskazują bardzo wyraźnie, że także i o współwinie mowy być nie może.

Niesprawiedliwy wyrok mści się. Jakaś Nemezis prześladuje wszystkich, którzy brali udział w strasznej krzywdzie, wyrządzonej bezdomnemu parobkowi z Wileńszczyzny, rzuconemu zbiegiem nieszczęśliwych wypadków na obczyznę. Prokurator, który oskarżał Jakubowskiego i sprzeciwił się jego ułaskawieniu w ostatniej chwili, musiał ustąpić ze stanowiska pod naciskiem oburzonej opinji publicznej nietylko całych Niemiec, ale prawie całego świata cywilizowanego. Minister sprawiedliwości w rządzie meklenburskim, który wyrok śmierci na Jakubowskiego zatwierdził sam sobie wymierzył sprawiedliwość, znikając w tych dniach w tajemniczy sposób z obawy przed ujawnieniem się skandalu erotycznego w własnej rodzinie, którego był sprawcą.

A obecnie rząd meklenburski powziął uchwałę znoszącą karę śmierci na obszarze prowincji Meklenburga. Ponieważ taka uchwała nie posiada mocy prawnej, gdyż rząd prowincji Meklenburskiej nie posiada kompetencji do podejmowania takich uchwał, postanowiono jednocześnie wprowadzić to postanowienie w życie w ten sposób, że w przyszłości nie będzie zatwierdzany ani jeden wyrok śmierci, wydany przez sądy meklenburskie.

Sowiecka państwowa fabryka zboża Nr. 1

Największem niebezpieczeństwem dla ustroju sowieckiego jest chłop. Chłop rosyjski — „kułak" — zdobył dzięki rewolucji, ziemię i uważa ją za swoją własność. Upaństwowienia ziemi, stanowiącego jedną z podstawowych zasad ustroju sowieckiego, nie przyjmuje do wiadomości. Rząd sowiecki musi z chłopem toczyć ciągłą wojnę, gdyż wieś wzbrania się dobrowolnie płacić daniny i dąży do wolnego hadlu produktami rolnemi. Wynik tej wojny jest zgóry do przewidzenia. Olbrzymia większość ludności rosyjskiej, to właśnie chłop — „kułak". Dziś jeszcze jest uległy, jeszcze nie porywa się na władzę sowiecką, bowiem jeszcze obawia się, że w razie zmiany ustroju, nowy rząd będzie usiłował odebrać mu ziemię. Ale pamięć dawnych czasów znika powoli, a im dalej się te czasy odsuwają w przeszłość, tem silniej czuje się chłop na swojej ziemi, tem mniej wierzy, by mógł mu ją ktokolwiek odebrać. Musi więc prędzej czy później przyjść **moment, gdy chłop przeciwstawi się rządowi sowieckiemu** i wypowie swoje żądanie. A wtedy nadejdzie koniec ustroju sowieckiego. Przed chłopem komunizm będzie musiał skapitulować i **albo podda się dyktandu wsi, albo zniknie.**

Przywódcy komunizmu rosyjskiego zdają sobie sprawę z tego, wiedzą, że musi to nastąpić. I na tem tle powstały niesnaski w łonie partji, na tem tle zrodziła się opozycja. Mianowicie lewe skrzydło partji zaczęło domagać się ratowania rewolucji przed chłopem i rozpoczęcia natychmiastowej ofenzywy przeciw wsi, zgnębienia jej i rzucenia pod nogi komunizmowi. Grupa rządząca nie chce takiej rozgrywki. Obawia się, że mogłaby się źle skończyć, bo gdyby nawet przyniosła komunizmowi zwycięstwo, to naraziłaby państwo sowieckie na niebezpieczne wstrząsy. A zresztą zwycięstwo byłoby krótkotrwałem i odsunęłoby tylko niebezpieczeństwo, nie niszcząc go.

Opozycja skapitulowała, a ci, którzy nie skapitulowali, poszli ze swoim „czystym" stuprocentowym komunizmem na Syberję. Zwyciężył kierunek kompromisowy, uprawiający taktykę niedrażnienia chłopów bez koniecznej potrzeby, a nawet stosowania ustępstw gospodarczych wobec wsi.

Ale nie znaczy to, że przystąpiono do stopniowej likwidacji ideałów komunistycznych, jak przedwcześnie sądzono. **Obrano tylko inną drogę do ich urzeczywistnienia.** Powzięto gigantyczny plan **uniezależnienia państwa od wsi, od 25 miljonów gospodarstw chłopskich,** stworzenia faktów, wobec których wieś musiałaby zmienić swoją taktykę i przystosować się do wymagań ustroju komunistycznego.

Plan ten jest już w toku realizacji. Barwny i treściwy opis tej pierwszej próby skreślił na łamach „Berliner Tageblatt'u" moskiewski korespondent tego pisma, Paweł Scheffer. Oto, co pisze:

„Na zachód od wielkiej koncesji Kruppa w Maniczu — przy linji kolejowej z Proletarskaja do Rostowa, w okolicy Celiny, leży **„Sowiecki folwark zbożowy Nr. 1".** Z Manicza droga do folwarku prowadzi przez step, pusty i równy jak boisko. Samochód pędzi naprzełaj z szybkością osiemdziesięciu kilometrów. Ziemia tego północno-kaukaskiego stepu przesycona jest solą i ta okoliczność sprawiła, że tak smutno zakończyło się tutaj przedsięwzięcie Kruppa.

Jest to kraj nieprzyjazny dla rolnika. Na owoce jego pracy czeka wiele wrogich sił. Panują tu wiatry tak gorące, że w ciągu 2-ch godzin zniszczyć mogą żniwo. Zdarzają się huragany, pędzące chmury drobnego, ostrego piasku, który w ciągu kilku minut śmiertelnie kaleczy wszelką roślinność. Grunt jest tak twardy, że najlepsze ostrze pługa ściera się po dziesięciu dniach pracy. Ziemia ta nie przepuszcza wilgoci od dołu i bardzo mało przyjmuje wilgoci z góry. Zresztą wydarzają się tutaj lata bez kropli deszczu. Już na wiosnę zaczyna się walka o wodę. Chwyta się ją w nielicznych wgłębieniach i sztucznych jeziorach. Jeżeli śnieg taje powoli, woda wsiąka w ziemię, jeżeli taje szybko, tamy powstrzymać jej nie mogą.

Ale warto się pokusić o zdobycie tej ziemi. Od niezliczonych lat gromadzi w sobie soki roślinności, pokrywającej ją w lecie. Bogata jest w azot aż do zbytku, zawiera wielkie ilości fosforu. Ale niełatwo otwiera swoje łono. Jest ciężka i twarda, a połyskuje jak mangan. Uprawa połączona jest z olbrzymiemi trudnościami i wymaga nadludzkiego wysiłku. Ale z drugiej strony każde wzruszenie jej, każdy zasiew zwiększa jeszcze jej urodzajność.

* * *

Trudno urządzić się prymitywniej niż to uczynił sztab pierwszej, sowieckiej fabryki zboża. W nędznej chacie wiejskiej, w jednej izbie, urzęduje trzech naczelnych kierowników, z których każdy kieruje samodzielnie swoim działem. Przy organizowaniu sowieckich przedsiębiorstw przemysłowych, które w państwie sowieckiem wyrastają jak grzyby po deszczu, zaczyna się z reguły od organizowania biur i urządzeń socjalnych, a dopiero potem myśli się o budowie fabryki. Tutaj inaczej — widzi się odrazu, że chodzi o pośpiech, że pracuje się dla zaspokojenia pilnej i piekącej potrzeby. A przytem każdy drobiazg trzeba zdaleka spowadzać, każdą deskę, każdy motor. Celina od niedawna dopiero jest stacją kolejową i leży na bocznej, tymczasowej linji, prowadzącej do ujścia Wołgi.

Każda praca, a przedewszystkiem każdy błąd i każda omyłka kosztują tu dziesięć razy drożej niż gdzieindziej. Na początek uprawionych ma być 100 tysięcy hektarów — tysiąc kilometrów kwadratowych — nieco mniej niż piąta część obszaru Rzeszy niemieckiej. Później pod uprawę ma pójść dalszych 200 tysięcy hektarów.

Uprawiane ma być wyłącznie zboże. Ma to być — jak się tu mówi — fabryka zboża, przedewszystkiem zaś pszenicy. Jest to największe przedsięwzięcie tego rodzaju na świecie. Decyzja zapadła na początku maja, gdy uprzytomniono sobie zupełnie wyraźnie znaczenie polityczne i gospodarcze kryzysu agrarnego, który rozpoczął się ubiegłej jesieni. Gdy niedopisały daniny zbożowe chłopów, gdy zawiodły nadzieje na eksport i zaczęto odczuwać brak chleba w miastach. Siedemnaście tysięcy hektarów już uprawiono. Tempo jest dobre. Przed nastaniem zimy pragnie się uprawić 60 tysięcy hektarów. Z tego 15 tysięcy pod zasiewy zimowe. Step zamieniono w olbrzymią szachownicę z czterystu hektarowemi kwadratami. Kwadraty te połączono znowu w grupy po 5 tysięcy hektarów każda. Każda taka grupa posiada 20 traktorów, które stanowią brygadę pod kierownictwem brygadjera.

Jak przystoi na państwo proletarjackie, wszystko ma tutaj być zmechanizowane, a wszelka praca ludzi i zwierząt jaknajrychlej wyeliminowana. Tak bowiem uczył Lenin.

Dotychczas zgromadzono na miejscu 193 traktorów, a oczekuje się na nadejście dalszych 63-ch. Do obsługi zmobilizowano za pośrednictwem związków zawodowych wszystkich „traktorystów". Związki natychmiast dostarczyły żądanych ludzi, co wskazuje na to, jak dalece postąpiła już tutaj mechanizacja społeczeństwa. Niezwłocznie też uruchomiono jednomiesięczne kursy dla personelu technicznego, prawdziwe prasy, do wtłaczania w mózgi i mięśnie potrzebnych wiadomości i ruchów. Z rafineryj kaukaskich nadchodzą transporty materjałów pędnych. Traktory są pochodzenia amerykańskiego i okazują się za lekkie w tutejszych warunkach— ale bo też kupowano je ongiś w innych warunkach i na inny cel. Miały być rozdane chłopom. Niezmierne trudności nastręcza dostawa wody i materjałów pędnych na cały obszar 100 tysięcy hektarów. Używa się do tego samochodów ciężarowych pochodzenia niemieckiego. Dostawa odbywa się z szeregu „punktów", na których ustawiono namioty dla zatrudnionych robotników. Prócz tego buduje się wozy mieszkalne. Na każdym kroku pośpiech i pośpiech przedewszystkiem. Dlatego nie we wszystkiem przestrzega się przepisów zawodowych. Raczej wyczuwa się tu atmosferę kapitalistyczną, jak powiedziałby komunista, gdyby nie był w tem sam bezpośrednio zainteresowany i gdyby to nie było jego dziełem. Obecnie buduje się i urządza liczne warsztaty reparacyjne. Traktory pracują całą siłą po szczesnaście godzin na dobę. Wszystkie wsie w pobliżu opróżnia się, aby zdobyć pomieszczenia dla robotników.

Obecnie trzeba jeszcze zatrudniać robotników chłopów do pewnych robót, których maszynami wykonać nie sposób. Ma to jednak w przyszłości ustać. Ale nie wydaje się prawdopodobnem, by tak było. Raczej trzeba się pytać, czy — jeśli wszystko dobrze pójdzie i pojawią się pierwsze, wielkie urodzaje — czy wtedy znajdzie się tutaj potrzebną ilość robotników, zwłaszcza przy stosowanym z całą bezwzględnością ośmiogodzinnym dniu pracy.

Koszty pierwszych robót oblicza się na 13 miljonów rubli. Do tego dochodzą olbrzymie potrzeby obrotowe na zagospodarowanie pierwszych obszarów. Będzie trzeba na ten cel wyasygnować poważne kredyty. Ale pieniądze będą, gdyż tutaj, przy tym „pierwszym numerze" skupia się w chwili obecnej cały wysiłek przedsiębiorczości państwa sowieckiego, które posiada w swoim ręku wszystkie źródła kredytowe. Będzie się na czem innem oszczędzać. Na hektar obliczono 85 rubli kosztów. Z tego 17 rubli na budynki, 25 rubli na inwentarz martwy, 18 rubli na żywy, 21 rubli na kapitał obrotowy. Cyfry te wyglądają zbyt niskie, zwłaszcza cyfra ostatnia. Amortyzacji świadomie nie bierze się pod uwagę. Ale zato gdzieindziej liczy się 4 i pół rubla dziennie na zużycie traktora w tej glebie. I rzeczywiście traktory kalkulują się tutaj drożej niż woły. To nieuwzględnienie amortyzacji dowodzi najlepiej, że rząd kieruje się tutaj innemi niż gospodarcze pobudkami. Inaczej nie porywanoby się na ten eksperyment. Przecież w tej okolicy roczna ilość deszczu wynosi tylko 350 milimetrów. Na koncesji Kruppa, która przechodzi obecnie do hodowli bydła, gdyż tylko 5000 hektarów okazało się zdolnych pod uprawę, ilość deszczu wynosi jednak 500 milimetrów, a mimo to, tereny te posiadają charakter stepu.

W gubernji Samarskiej ma być uruchomiona druga taka „fabryka zboża" — wyznaczono tam na ten cel 800 tysięcy hektarów, w Saratowskiej gubernji 500 tysięcy hektarów, a w Kirgistanie nawet 3 miljony hektarów! Przytem przewidziano, że żaden z tych folwarków nie może być więcej niż o 60 km oddalony od kolei. Będzie więc trzeba i koleje budować. Tereny na północnym Kaukazie uznano widocznie za najodpowiedniejsze, gdyż inaczej nie zaczynanoby tutaj najpierw. Co za kolosalne ryzyko, a przynajmniej uwięzienie olbrzymich kapitałów!

* * *

Trzeba sobie jednak uprzytomnić, jaki cel przyświeca państwu sowieckiemu w tem przedsięwzięciu, jeżeli nie cofa się przed tak wysoką ceną, aby tylko uniezależnić się od opornego chłopa. Dla przeprowadzenia planu uprzemysłowienia Rosji i stworzenia tem samem robotniczej przeciwwagi wsi — jednem słowem dla przekształcenia społecznego charakteru Rosji, państwo sowieckie potrzebuje importu z państw kapitalistycznych. Pszenica, którą spodziewa się wyhodować na stepie północno-kaukaskim, ma mu dać potrzebne na zapłacenie tego importu waluty zagraniczne — na tym stepie ma wyróść waluta. Obojętnem jest przeto, ile to kosztować będzie w rublach rosyjskich — niema bowiem innej drogi zamiany rubla na walutę zagraniczną. Przyglądając się temu bliżej, dostrzegamy, że nawet rachunek rublowy na wypadek wielkich strat, nie przedstawia się tak rozpaczliwie. Państwo sowieckie jest przecież jednocześnie jedynym handlarzem zboża na rynku wewnętrznym. Dysponując własnemi olbrzymiemi zapasami, będzie mogło prawie dowolnie regulować ceny w kraju i obniżać je. Jednem słowem, to, co straci jako producent zboża, odbije sobie jako handlarz zboża.

Teoretycy sowieccy mówią dzisiaj: „W miarę postępu gospodarczej i organizacyjnej socjalizacji kraju, coraz bardziej uniezależniamy się od cen i pieniądza". Od słuszności tej teorji uzależniony jest cały system sowiecki. I z tego zdają sobie tutaj dokładnie sprawę. I rzeczywiście można sobie wyobrazić, jak dalece zwiększy się swoboda ruchu rządu sowieckiego, jeśli dysponować będzie własnemi zapasami zboża i nie będzie zależny od wsi ani od wyników rekwizycyj po wsiach.

Mimo wszystko zdaje się, że to rozpaczliwe urzeczywistnienie doktryny socjalistycznej nie doprowadzi do zamierzonych rezultatów. Jeden z kierowników „fabryki zboża" rzucił żartem uwagę: „Jesteśmy obecnie największymi „pomieszczikami" na świecie. „Pomieszczik", to dawny obszarnik — słowo znienawidzone i nienawiść budzące. Nawet srogim pomieszczikiem jest państwo sowieckie, gdyż pragnie oto otwarcie wyrzucić chłopa poza nawias systemu gospodarczego...

Tego otwarcie się nie mówi — pragnie się rzekomo tylko złamać opór chłopa i zasymilować go w ustroju sowieckim. Dąży się do tego w myśl testamentu Lenina, który orzekł, wtedy władza sowiecka będzie ostatecznie ufundowana, gdy przemawiać będzie nietylko w imieniu proletarjatu, ale także w imieniu 25-ciu miljonów gospodarstw wiejskich, gdy tych 25 miljonów gospodarstw wiejskich, zorganizowanych w karne syndykaty, stanowić będą powolny instrument w ręku tej władzy.

W imię tych wskazań Lenina setki traktorów trzeszczy na stepach kaukaskich, aby w ciało zamienić teoretyczne koncepcje i akademickie dedukcje. Europa musi to przyjąć do wiadomości i pogodzić się z tem — ale z drugiej strony komuniści także muszą przyznać, że ich socjalistyczne rachunki wykazują coraz więcej niewiadomych.."

„Różyczka" w Warszawie

Stolica gości obecnie w swoich murach p. Rose Barlly, zwaną popularnie „Różyczką", niezmordowaną organizatorkę i bojowniczkę zbliżenia polsko-francuskiego, twórczynię stowarzyszenia „Les Amis de la Pologne", które uczy Francuzów poznawać i kochać Polaków...

Przysłowie nasze „Niema róży bez cierni" straciło całkiem swoją aktualność, odkąd „Różyczka" pokochała Polskę... Oddała się ona bowiem tak gorącej i tak radosnej propagandzie wszystkiego, co dotyczy naszej Ojczyzny, iż widząc ten jej zapał i ten entuzjazm, można myśleć o kwiecie, ale nigdy o cierniach.

Entuzjazm „Różyczki" nie ograniczył się na uczuciu gołosłownem, na oświadczeniach jedynie. Było w nim wszystko — prócz frazesu. Ciężka, odpowiedzialna, świadoma celu, żmudna praca—oto dzieło tej promiennej apostołki!

„Odczyt" wygłoszony przez „Różyczkę" w sali Towarzystwa hygienicznego w Warszawie, nie był odczytem. Było to natchnione objawienie, był to czarowny hymn na cześć Polski i Francji, Polski, która nieznaną była we Francji i Francji, której nie znamy po dziś dzień w Polsce.

Nie można bowiem Francji sądzić na zasadzie wyjazdu na Riwjerę czy do Paryża, na zasadzie czytanych romansideł lub używanych perfu... Jakże mądre, jakże słuszne i piękne były słowa kochanej „Różyczki" wypowiedziane w Warszawie: „Polska to wielka rzecz, ale i Francja — to także wielka rzecz"...

Nie będę powtarzał „danych" dowodzących jaki ogrom pracy spełniło Towarzystwo Przyjaciół Polski, jaką siecią oplotło całą Francję, budząc we wszystkich sercach miłość ku Polsce... Nie będę tu powtarzał nazw miejscowości, gdzie „dobra wieść" z ust „Różyczki" doleciała i w duszach ludzkich zakwitnęła... Wymagałoby to bardzo obszernego studjum, ja zaś pragnę w kilku słowach, gorących i wzruszonych, podnieść czyn naszej znakomitej i drogiej Przyjaciółki, czyn, który przeciwstawił się jak mur granitowy wrogiej propagandzie zagranicznej, siejącej o Polsce najpotworniejsze wieści wśród cudzoziemców...

Patrząc na „Różyczkę" mówiącą i myśląc o jej wielkiem dziele mimowoli wspomina się ową rycerską, nieustraszoną i żelazną Joannę D'Arc... I jedna i druga z Bożego natchnienia podjęła walkę w obronie pokonanych i ukochanych... I jedna i druga odniosła zwycięstwo. Tylko że Tamta, ta z przed stuleci, zginęła na stosie w płomieniach, zapalonych ręką wroga, Ta zaś żyje i pali się na ołtarzu wielkiego ukochania, jak święty znicz...

„Liga Narodów — powiedziała „Różyczka" w swojem warszawskiem przemówieniu — uczyni coś dla pokoju świata jedynie dzięki dwum swoim dobrym duchom — Francji i Polsce..."

A jakie piękne były jej słowa o Polsce, jako o Chrystusie narodów, który nauczył ludy, by miłowały inne ludy... Jakże wielką znajomością naszej literatury i naszego ducha nacechowane było każde słowo mówczyni!...

Umiemy śmiać się z nieznajomości cudzoziemców, dotyczącej naszych spraw i naszego życia... Kto wie, czy znalazłoby się wielu Polaków równie dobrze znających piśmiennictwo i życie polskie — jak „Różyczka..." I kto wie, czy znalazłoby się wielu Polaków, którzyby miłowali Polskę tak, jak ona ją ukochała...

Juljan Ejsmond.

Z powrotem

Przekroczywszy normalną granicę, szczere lato świeciło i grzało aż do połowy września. Lecz wreszcie powiał chłód. Jesienna szaruga wypędza spóźnionych letników z drobiazgiem, którego nie obowiązuje rok szkolny.

Zaroiło się znowu w kolejce.

— Ach Edytka, jak ty możesz dłubać w nosie z podobnemi rączkami? Zauważ, jakie ty masz brudne rączki!

Edytka nie reaguje, więc — klask! klask! — buzia Edytki staje w ponsach. Z sąsiedniej ławki wychyla się ktoś ciekawy.

— Proszę! Ta pani nie widziała jeszcze, jak się dziecko bije. Panie Stanisław! Okno otwarte! Ten gołąbek ucieknie! Trzymaj pan ten gołąbek!

— Nic się pani nie bój. — Pan Stanisław piastuje gołąbka przezornie w pieluszce ze zmiętej gazety. Matka pana Stanisława jest niezadowolona.

— On tobie obrobi ten nowy garnitur, ty zobaczysz.

— Nic się mama nie bój.

— Jak on się częsie, pani widzisz, pani Lodziu? On jest zdenerwowany. On chce pić.

Pani Lodzia delikatnie ujmuje gołąbka i pieszcząc go subtelnie wśród czułych przezwisk („ty złodzieju, ty łajdak złoty, brylantowy, ty bydlę słodkie") wytacza z pośród szczerozłotych ząbków nieco śliny prosto w dziobek przerażonego ptaszka. Ten trzepie się z widocznem obrzydzeniem. Edytka wyrywa matce gołąbka.

— Ty mu daj pić, Edytka.

Matka pana Stanisława jest zgorszona.

— Pani się nie boi? Czy pani może wiedzieć, gdzie ten ptak był z tym pyskiem, może on na śmietniku co obgryzał?

— Nic się mama nie bój — uspokaja pan Stanisław, odbierając ptaszka Edytce, która piszczy rozdzierająco.

— Czego ty się denerwujesz, Edytka? Trzymaj go pan. No, panie Stanisław, pomyśl pan ale, co tam na nas muszą w tej chwili gadać! Chciałabym słyszeć. Już nas tu żaden nie zobaczy. Mnie to za dużo zdrowia kosztowało, słowo panu daje. Ja jestem za nerwowa na nasze letniska, to nie dla mnie.

W innej grupie Daneczka i Leszek raz po raz straszą rodziców i ciocie (młode to, mizerne i jeszcze w studenckich czapkach) groźbą potrzeb naturalnych — zwłaszcza u małych dzieci — lecz trudnych do zaspokojenia w kolejce. To jedna, to druga ciocia wynosi krzyczącego bębna, a po powrocie wykazuje mimiką, że alarm był fałszywy.

— Hela, co? Muszą nas tam zdrowo obgadywać w tej chwili!

Hela parska śmiechem.

— Wiesz, co powiedziała Jadźce? Że różnych lokatorów miewali, ale takich okazów jak my...!

Przy oknie para starszych mieszczuchów. Szepcą dyskretnie.

— Nie może być?

— A jakże. Jak zaczęła oglądać wszystkie kąty, egzaminować każdy sprzęcik... Mnie aż podnosiło! Cóż to, mówię, bandyci u pani mieszkali? Tak jej w oczy powiedziałam! Trochę się zawstydziła.

— Zwarjowała baba na punkcie swoich staropanieńskich porządków.

— Aha. Ten fotel skleiłam jej karukiem... nic nie zobaczyła. Komodę, co się rozleciała, podsunęłam pod samą ścianę i jakoś stała. Te plamy co wygryzło na marmurze zasmarowałam proszkiem do zębów z wodą i też nic nie znać. Dziurę co Genia wypaliła w podłodze założyłam dywanikiem... Wogóle wszystko... Z lampą w stołowym też się udało, dopiero jak zapali, to się ten klosz rozleci, ale tymczasem...

— Wścieknie się stara, jak odkryje.

— Niech się wścieknie. Nic nam nie zrobi.

Après nous le déluge!

Nowe frasunki, nowe przyjemności, nowe życie... za nami śmietnik, złe wspomnienie, ludzka krzywda, ludzka złość... Co tam! Niech sobie potop wszystko po nas zalewa!

T. Brudzewski.

Podróż przez kanał panamski

Bałem się trochę jazdy przez kanał panamski. Przekonałem się jednak na własnej skórze raz jeszcze, że nie trzeba wierzyć wszystkiemu, co ludzie opowiadają o temperaturach i widokach. Okazało się zawsze, że jest inaczej. Inaczej mi opowiadano, inaczej czytałem w książkach podróżniczych, a inaczej widziałem i znalazłem wszystko w Ameryce Północnej, w Meksyku i w Ameryce Centralnej. Opowiadano mi o olbrzymich pustyniach meksykańskich i niechlujstwie w Ameryce Centralnej, o nieustannych napadach i bandytyzmie. Rzeczywistość była zupełnie inna. Jeszcze w Costa-Rica mówiono mi: „nie wytrzyma pan podróży przez kanał, upał pana zabije!" Nie było wprawdzie chłodno, ale bardziej się pociłem w porcie guatemalskim, Puerto Barrios, albo w drapaczu nowojorskim w letnich miesiącach.

Krajobraz jest przemiły. Kanał Panamski nie jest kanałem w normalnem znaczeniu tego słowa. Wygląda raczej jak spokojna rzeka, wijąca się od jeziora do jeziora, wśród pagórków i łąk, na których pasą się trzody pięknego bydła, rosną palmy i bambus i malowniczo rozrzucone stoją domki, przypominające szwajcarskie szałasy. Tylko tam, gdzie są szluzy, jest kanał, wyciągnięty pod sznur, reszta to rzeka lub jezioro i malowniczy brzeg.

Tuż po wschodzie słońca, który przepięknie rozświetlił port w Cristobal i wody zatoki Limońskiej, parowiec nasz wyruszył, kierując się ku wejściu do kanału od strony Atlantyku. Do kanału nie prowadzi żadna brama, żadna monumentalna budowla nadbrzeżna — wjeżdża się tak jak np. do portu cesarskiego w Gdańsku lub w Szczecinie. Ale ten wjazd wyposażony jest w najdoskonalsze techniczne urządzenia i w najstraszliwsze środki obronne, i to na przestrzeni kilkunastu mil wokoło. Wejście do kanału jest doskonale zabezpieczone przeciw falom. zatoki Limońskiej a sforsowanie go siłą zbrojną wydaje się być niemożliwem. Okręt nasz przepływa spokojnie obok tych strasznych rzeczy, zdążając ku gigantycznym szluzom w Gatun. Otacza nas rój mew i ryb skaczących, a za nami płyną dalsze cztery parowce, które także pragną przepłynąć przez kanał.

Zbliżamy się do potwornych w swych rozmiarach instalacyj kanałowych w Gatun. Po betonowem wybrzeżu pędzą ku nam elektryczne lokomotywy z wielkim szumem i hałasem. Duża, czerwona wskazówka u wejścia do szluzy opada na znak, że wszystko jest gotowe, aby podnieść nasz okręt 85 stóp wysoko do poziomu jeziora Gatun, które powstało przez zamknięcie doliny rzeki Chagres. Lokomotywy zaprzężono do okrętu z przodu i z tyłu. Jedne ciągną, drugie trzymają, podprowadzając nas pod wrota cyklopów, powstrzymujące wody jeziora. Za nami wprowadzono jeszcze jeden parowiec, poczem brama wejściowa zamyka się za nami. Bardzo szybko podnosi się poziom wody w basenie, w którym się znajdujemy. Wszystko odbywa się bez żadnego krzyku, automatycznie i jakby się to samo przez się rozumiało. Po chwili wjeżdżamy do drugiej szluzy — znowu to samo — potem do trzecie i ostatniej, z której — płynąc obok potężnych rusztowań i doków, służących do dokonywania reperacyj, wypływamy na jezioro Gatun.

Jest to największe, sztuczne jezioro na ziemi o pojemności około 184 miljonów metrów sześciennych wody. Płyniemy teraz obok licznych, małych wysepek do kanału Gaillarda, nazwanego imieniem inżyniera Dawida G. Gaillarda, który na tem miejscu prowadził roboty przy przebijaniu górskiego pasma Andów. Kanał idzie w tem miejscu wzdłuż doliny Rio Grande. Na końcu kanału Gaillarda znajdują się szluzy Piotra Emanuela, w których okręt zostaje opuszczony do poziomu Oceanu Spokojnego. W Balboa, porcie Panamy, wypływamy z kanału na Ocean Spokojny. Poziom Oceanu Spokojnego jest nieco wyższy niż poziom Oceanu Atlantyckiego.

Osiem godzin trwała przeprawa, w czasie których przebyliśmy 44,08 mil morskich. Kanał Panamski jest największem dziełem techniki, na ziemi. Posiada wszystko, co może służyć do udogodnienia żeglugi międzynarodowej i wszystko co może przyczynić się do jego obrony w razie wojny. Wszystkie wysepki na Oceanie Spokojnym, leżące w pobliżu wylotu kanału, zamienione są w fortece i naszpikowane formalnie lufami potężnych dział.

Kanał posiada składy węgla o pojemności 700 tysięcy tonn oraz urządzenia do ładowania węgla o sprawności 1500 tonn na godzinę. Zbiorniki na ropę, naftę i benzynę mogą pomieścić 3 i pół miljona bareli. Kanał posiada olbrzymie zbiorniki wody słodkiej, doskonale urządzone rampy do ładowania, szpitale, hotele luksusowe, stada bydła, przeznaczonego na wyżywienie pracowników, doki suche, statki ratownicze, jednem słowem wszystko, czego tylko wymagać może nowoczesna żegluga. Hotel „Washington" po stronie Atlantyku jest największym i najpiękniejszym hotelem Ameryki środkowej. Przed frontem tego hotelu, zwróconym na morze stoi ogromna statua Kolumba. Obok potężnej postaci odkrywcy Ameryki jest postać indjanina, patrzącego w dal.

Wszystko jest tutaj pogodne a cała podróż wydaje się piękną wycieczką. Mnóstwo obywateli amerykańskich przyjeżdża tutaj do Colon lub Panamy, aby grać tenisa i golfa, zgrywać się w totalizatora na wyścigach konnych, robić wycieczki do okolicznych wiosek indyjskich, pić mleko kokosowe prosto z drzewa i kąpać się w wytwornych łazienkach morskich. Kanał jest dla Amerykanina atrakcją podobnie jak kasyna gry w Hawannie i orgje pijackie na wyspie Nassau.

Tragiczną jest historja tego kanału. U wejścia do kanału od strony Pacyfiku znajdują się tablice pamiątkowe i kolumna, poświęcona pamięci tych, którzy przy budowie kanału zginęli. Na tablicach tych wypisana jest historja tej gigantycznej budowli.

Dziesięć lat po zdobyciu Meksyku, towarzysz Corteza, Alvaro de Saavedra, na żądanie Karola V, opracował pierwszy plan kanału panamskiego. Cortez bardzo szybko zorjentował się w położeniu geograficznem. I już wówczas przystąpionoby do budowy kanału, gdyby nie następca Karola V, cesarz Filip II, który odrzucił projekt, mówiąc: „Co Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza". Trzeba jednak przypuszczać, że kanał byłby wówczas jeszcze więcej ofiar pochłonął niż w ubiegłem stuleciu.

Idea budowy kanału nie opuszczała jednak umysłów ludzkich i coraz to nowe pojawiały się projekty.

Bolivar, przywódca ruchu wolnościowego w Ameryce południowej polecił również na początku dziewiętnastego wieku opracować plan budowy kanału, ale dopiero na międzynarodowym kongresie w Paryżu, w roku 1879, zapadła ostateczna decyzja podjęcia budowy. Ferdynand de Lesseps, budowniczy kanału Suezkiego, objął techniczne kierownictwo robót i w styczniu 1882 r. podjęto pierwsze roboty ziemne. Strefa kanałowa należała wówczas do najbardziej zabójczych dla ludzi. Nad bagnami unosiły się chmury moskitów, roznoszących zarazki febry tropikalnej. Ofiarą febry padło 22,000 robotników i funkcjonarjuszów, zatrudnionych przy budowie. Na jednej z tablic pamiątkowych widnieje nazwisko inżyniera Juljusza Dinglera, który przybył do Panamy w roku 1883, aby kierować robotami ziemnemi. Po kilku latach wracał do Europy, wioząc ze sobą zwłoki żony i dwojga swoich dzieci.

Kanał pożerał tysiące istnień ludzkich i tak olbrzymie kapitały, że w roku 1888 musiano zawiesić roboty. Wydano w ciągu 6 lat 53 miljonów funtów szterlingów. Wykopano zaś tylko 19 mil morskich koryta kanału. Pozostała wytyczona trasa, walące się w gruzy budowle i ognisko zarazy.

Aż wreszcie Stany Zjednoczone zabrały się do tego dzieła. Najpierw nawiązały rokowania z Kolumbią, a gdy ta nie chciała się zgodzić na oddanie Stanom terytorjum, przez które przebiegać miał kanał, zainscenizowano małą rewolucję w Panamie, która wówczas należała do Kolumbji. Rewolucja się udała i Panama „usamodzielniła" się jako niezależna republika. Pierwszym aktem nowej republiki było odstąpienie Stanom Zjednoczonym strefy kanałowej za minimalnem odszkodowaniem. Od roku 1913 Stany Zjednoczone płacą z tego tytułu Panamie 250 tysięcy dolarów rocznie. Rząd Panamy rozdziela tę rentę pomiędzy swoich funkcjonarjuszy. Nazywa się to „gratyfikacją panamską".

Ale Stany Zjednoczone dokonały tutaj cudów. Dzięki zabiegom sanitarnym, prowadzonym na wielką skalę, udało się opanować i wytępić febrę. Znikły również moskity jadowite. Strefa kanałowa jest dzisiaj tak zdrowa, jak najlepsze uzdrowisko klimatyczne.

(Z niemieckiego A. P.).
Alfons Goldschmidt.

Współczesna gościnność angielska

Condrat-Korzeniowski byłby dziś „niepożądanym cudzoziemcem"

Według praw angielskich każdy cudzoziemiec, przyjeżdżający do Anglji poddawany jest specjalnej procedurze: Musi odpowiadać na szereg pytań, wypełnić obszerny formularz, a decyzja o tem, czy może wylądować w Anglji, czy nie, należy bezapelacyjnie do komisarza imigracyjnego. Nawet tacy podróżni, którzy przybywają z państw, gdzie istnieje przymus paszportowy i przymus wiz, którzy więc posiadają w paszportach swoich formalne wizy angielskich konsulatów, nie mogą mieć pewności, czy wolno im będzie wylądować w Anglji i czy nie będą musieli wracać od brzegu. Jak ostrą jest ta kontrola przyjezdnych widać z oficjalnej statystyki, ogłaszanej przez ministerstwo spraw wewnętrznych regularnie co trzy miesiące, widocznie poto, aby uspokoić obywateli angielskich, i wykazać im czarno na białem, jak gorliwie czuwa się nad drogami, prowadzącemi do ich ojczyzny. Według tej statystyki w ostatnich sześciu miesiącach nie wpuszczono do Anglji 1008 przyjezdnych. Największy odsetek tych „zawróconych" stanowią Niemcy. Inne narodowości zajmują dalsze miejsca, ale nie dlatego, by w stosunku do nich komisarz imigracyjny stosował liberalniejsze normy, lecz poprostu dlatego, że bardzo mało przyjeżdża ich do Anglji.

W jednym z ostatnich numerów „Manchester Guardian'a" znajdujemy artykuł, poświęcony tej statystyce. Liberalny organ angielski sądzi, że cyfra ta jest zbyt wysoka i dochodzi do wniosku, że nieprawdopodobnem jest, by wszyscy ci, którzy zostali zawróceni od brzegów Anglji, byli chorzy, ścigani za przestępstwa lub podejrzani o bolszewizm. Co do Niemców, to wielu z pośród zawróconych należy do tej kategorji, która przed wojną posiadała w Anglji objekty majątkowe, skonfiskowane w czasie wojny i obecnie czyni starania o odzyskanie ich. Ludzie ci są widocznie niewygodni dla władz angielskich, gdyż zbyt zaprzątają im głowę swojemi sprawami i dlatego wogóle nie wpuszcza się ich do kraju.

Ale „Manchester Guardian" zajmuje się także sprawą traktowania obcych, zamieszkałych w Anglji. Wysoce liberalne metody przedwojenne, zdaniem pisma, poszły w zapomnienie, a na ich miejsce wprowadzone zostały zwyczaje, jakby żywcem skopjowane z dawnej carskiej Rosji.

Dziennik pisze: „Z prawa azylu korzystał w naszym kraju ongiś taki Mazzini, Wiktor Hugo, Kossuth, Krapotkin. Jeszcze w roku 1905 istniało prawo, według którego „nikomu, kto schroni się do naszego kraju przed prześladowaniem religijnem lub politycznem, nie wolno odmówić prawa gościny". W międzyczasie wiele się zmieniło, głównie pod wpływem rewolucji rosyjskiej, która stała się widocznie groźną nawet dla ogniotrwałego Albionu. Wydano więc prawo — „Alien Act" — z roku 1919, oparte na zupełnie innych zasadach i stosowane w sposób jaknajbardziej biurokratyczny".

Z pośród bardzo licznych wypadków, o których opinja publiczna nigdy się nie dowie, „Manchester Guardian" cytuje trzy, o których zdołał się dowiedzieć, gdyż chodziło w nich o ludzi, którzy nie należeli ani do chorych, ani byli komunistami, ani też nie uciekali przed karą za przestępstwa.

I tak nie wpuszczono do Anglji głośnego rosyjskiego śpiewaka *Szaljapina*, a nie wpuszczono także swego czasu *Waltera Rathenaua*, największego z pośród niemieckich magnatów przemysłowych i późniejszego niemieckiego ministra spraw zagranicznych. Po dwudziestoletnim pobycie w Anglji wydalono stamtąd obywatela niemieckiego *D-ra Oskara Levy'ego*, któremu literatura angielska zawdzięcza przekład Nietzschego i co do którego w sferach literackich — jak pisze dziennik — „panuje jednomyślny żal, że człowiek ten nie jest Anglikiem".

„Na zasadzie „Alien Act'u" — pisze dalej „Manchester Guardian" — „nie wpuszczonoby dzisiaj do Anglji Polaka *Józefa Conrada-Korzeniowskiego* i kraj nasz pozbawiony zostałby jednej z największych swoich sław literackich".

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Lej norymberski czyli współczesna współczesność

Okres, który przeżywamy i postokroć myślowo — przeżuwamy jest, jak każda teraźniejszość, zdobywaniem przyszłości. Forma naszego życia w przyszłości wyrasta bowiem z reformy pojęć, które jako oderwane i lotne zdążają o krok, sto kroków, o wiele, wiele kilometrów naprzód. Narazie jednak obok form, przekazanych z przeszłości, odbywa się próbna inscenizacja tych nowych pojęć. Jesteśmy bowiem przejęci żądzą ich natychmiastowej, praktycznej przystowalności. Z czego wynika ambitne narzucanie „nowinek", jako bezwzględnej wartości.

Dzieje się to w każdej dziedzinie naszego życia, — działo się zawsze. Każdoczesna programowość posługiwała się przecież frazesem: „Żyjemy na przełomie!" Oczywiście — prawdą jest, że niema ciszy, niema skamieniałego bezruchu i dlatego o każdym momencie (dosłownie) naszego życia, gdy tylko ten moment złowimy zastanawiającą się myślą, możemy powiedzieć, że jest — przełomowy.

Sugestywność pojęcia: przełom — wprawia nas w stan nerwowego poszukiwania. Odrazu chcielibyśmy odrzucić wszystko dotychczasowe, a zerwawszy ciągłość z przeszłością, stworzyć coś odmiennego, coś z gruntu innego. Wzmaga się energja twórcza, powstaje niby wir chaosu, z którego ma się wyłonić skoordynowana, w formę ujęta synteza. Istnieje więc celowość naszej pracy twórczej — rzec można: celowość sama w sobie. Ale wobec niedoskonałości naszego narządu myślowego, gubiącego swój początek i kres w metafizycznej niedościgłości, urzeczywistnianie ambitnych programów i projektów odbywa się wśród pomyłek, rozczarowań, wśród nieprawdopodobieństw wszelkiego rodzaju.

Najsromotniejszą zresztą klęską naszej konkretności jest — względność (einsteinowska), która wysiłkom ludzkości odebrała trwałość w „czasie i przestrzeni". Mimo to, posiadamy zawsze jeszcze iskierkę twórczej woli, posiadamy manjacki upór czynu, więc organicznie żywotny pęd. Żyjemy! To znaczy: musimy działać, szukać, odkrywać, psuć, burzyć, zmieniać, ulepszać... I tak bez końca, bez wypoczynku przemierzać te względne przestrzenie we wszystkich trzech wymiarach, dorozumiewać się, czy wreszcie zgłębiać swoją własną, ludzką wartość i konieczność, swoje tajemne możliwości. Musimy je wreszcie zebrać, skupić, usystemizować dla możności współżycia i współdziałania. Z tej organizacyjnej konieczności powstała właśnie — etyka, która jako wyraz wyższej wartości człowieka przeciwstawiła się niesprawiedliwym i krzywdzącym prawom przyrody (prawo silniejszego!).

Działające, etyką uszlachetnione życie człowieka przybiera więc cechy wiecznej walki właśnie z prawami przyrody jako siłami działającemi zewnątrz i wewnątrz nas samych. Z trudu pokonywania przeciwieństw zewnętrznych powstał zrąb wiedzy. Więc: wynalazki, odkrycia, te olbrzymie już zdobycze w dziedzinie nauk przyrodniczych, technicznych. Walka ze sobą samym — to tworzenie się organizmów państwowych, opartych na prawie i sprawiedliwości, to tworzenie się religji, filozofji, etycznych wskaźników współżycia.

A sztuka? Czem jest sztuka w tym wieczyście walczącym bycie? Sztuka jest natężonym skrótem tej walki, ujętej w słowo, barwę, kształt i dźwięk. Wszystko więc może i powinno być „tematem" sztuki, a wartość dzieła sztuki zależy od estetycznego ujęcia, od wewnętrznie pulsującego żywego tętna. Ubocznie stwierdzam, że oddziaływanie tworu sztuki na współczesność nie może być sprawdzianem jego wartości, skoro teraźniejszość jest — zdobyciem przyszłości.

Jeżeli — jak założyliśmy — sztuka czerpie materjał rzeczowy ze zwycięstw i klęsk naszego bytu, musi wraz ze zmianą praw i prawideł życia zmieniać się jej stosunek do tych praw i prawideł. Naprzykład: — stosunek do przestrzeni dziś, a za czasów Homera; stosunek do zagadnień społecznych i politycznych dziś, a za czasów Danta. Wiele z nastawienia psychicznego teraźniejszości musiało ulec zmianie pod wpływem nowych zdobyczy wiedzy, a zwłaszcza techniki. Technika jest bowiem dziś tym rzeczywistym motorem przyśpieszonego tempa naszego życia. W technice wypowiada się dziś genjusz ludzki tak, jak w średniowieczu wypowiadał się w architekturze, w XV i XVI w. w rzeźbie i malarstwie, w XIX w. w poezji romantycznej i t. p.

Choć więc niejednokrotnie poeta wyprzedza naukę intuicją („to, o czem się nie śniło filozofom!"), to jednak stwierdzić należy, że dziś żadne dzieło sztuki nie jest jeszcze, a może i nie będzie, odpowiednikiem genjalności wynalazcy. I stąd też współczesna sztuka przeżywa okres, bodajże, upadku, ponieważ nie może jeszcze w sobie pomieścić rozmiaru genjalnej „fachowości" techniki. Poezja dzisiejsza, operując dyletantyzmem, popełnia rzeczy śmieszne, naiwne. Wszystkie te warczące, turkoczące wierszyki, które usiłują imitować „maszynowość" współczesności, są przecież tylko bolesnem nieporozumieniem.

To samo zresztą dzieje się z zagadnieniami społecznemi, które stały się drewnianym konikiem naszej najnowszej poezji. Nazwano ją „poezją proletarjacką" i pod tą firmą uprawia się również naiwne, śmieszne rewolucjonerstwo. I tu dyletantyzm plus tania uczuciowość tańczą na pograniczu humorystyki i melodramatyczności. W sumie nie jest to nic innego jak snobizm, który niema nic wspólnego z istotną wagą zagadnień społecznych jako z programem, wywalczającej przyszłość, współczesności.

Nie trudno stąd wysnuć wniosek, że najnowsza literatura, ściślej poezja, nie może się należycie posługiwać materjałem życia współczesnego, ponieważ nie zna go należycie. Nowe zdobycze wiedzy muszą bowiem wejść w krew i mózg poety, stać się poprostu jego organiczną własnością, aby się mogły przetworzyć w dzieło sztuki, w natężony skrót rzeczywistości. Trzeba się więc uczyć, poznawać, uwspółcześniać nietylko w formie, w konstrukcji dzieła poetyckiego. Muszą się otworzyć te „nowe horyzonty" i **nowe możliwości treści twórczej.**

To wymaga jednak pracy i wysiłku woli. Dlatego dzisiejsza „młódź poetycka" wybiera raczej tematy społeczne, gdyż sądzi (mylnie!), że jest to dziedzina każdemu dostatecznie znana i bliska, dziedzina — laików. Niewątpliwie łatwiej jest wygrywać akordy rewolucyjne na pięciu strunach etyki, łatwiej jest podjąć z ziemi jakąkolwiek biedotę w łachmanach i pokropić ją atramentowemi łzami, niż zrozumieć znaczenie wielkiej, zdobywczej inteligencji, wypracowującej właśnie dla tych krzywd społecznych nowe, sprawiedliwsze formy jutra.

Nie mam tu zamiaru dyktować tematy, skoro twierdzę, że wszystko powinno być tematem sztuki. Chodzi mi jedynie o to, że sztuce nie wolno parać się tylko jednym tematem i to w dodatku nieudolnie, niewspółcześnie. **Wystukiwanie rytmu i dobieranie rymów, choćby najnowocześniejszych, dla płodzenia warjantów tego samego motywu treściowego jest bezwątpienia świadectwem ubóstwa inwencji i ciasnoty widnokręgu.** Ktoś ślicznie, wzruszająco napisał o mrozie i upale nędzarzy, ale naśladownictwo jest zastrzeżone!

Natomiast nikt nie pokusi się o napisanie wiersza o męczennikach wiedzy, o wielkich dobroczyńcach - wynalazcach, o świętych szaleńcach Amundsenach. Któż pokłonił się wierszem („jakiemuś tam!") doktorowi Menard, lekarzowi rentgenologowi, ofierze i bohaterowi nauki? A to są właśnie ci, to jest właśnie ta „inteligencja" rewolucjonizująca pojęcia i formy! Nie pisze się jednak o niej, ponieważ nie jest bezimienna, nie jest tem samem „modna", mimo, że tak samo marznąc z zimna i topniejąc z upału, zdobywa rad, powietrznym lotem łączy skłócone narody, buduje nowy społeczny dom, umiędzynarodawia świat ducha, rusza z posad bryłę zakrzepłych przesądów, własnem kalectwem, męczeńską śmiercią zapala nowe słońce przyszłości.

Tak, panowie poeci, trzeba uwspółcześnić poezję poznaniem całej współczesności!

Z perspektywy historycznej krytykujemy ciaśniutkie kręgi, w których się obracała stanowa poezja rycerskich truwerów i trubadurów, rzemieślnicza poezja, zamknięta w „norymberskim leju", szlachecka, czy mieszczańsko - uczuciowa poezja minionego stulecia. Dziś dzieje się to samo z „poezją proletarjacką". Dziś niema jednak stanów, niema wyłączności zagadnień, związanych z przywilejami stanowemi. I tem właśnie różnimy się od przeszłości, tem wywalczamy formę przyszłości. Wieloplanowość naszego nowoczesnego życia domaga się więc zróżnicowania zainteresowań twórczych. A wielka armja rewolucjonistów wiedzy, armja przodujących, intelektualnych zdobywców musi wejść w poezję, w sztukę — przynajmniej w tak dostojnej i współczującej transformacji estetycznej, jak tragarz, maszynista, szwaczka.

Raz jeszcze zaznaczam, że chodzi mi tu o wskazanie równowartości każdego tematu i o istotne, nie dyletanckie poznanie tego tematu. Dziś bowiem doszło już do tego, że dla najmłodszej poezji nie istnieją dość „godne" zagadnienia poza t. zw. proletarjackością. Wszystko inne przestaje dla nich być „koniecznością twórczą". Inaczej mówiąc, wytwarza się coś w rodzaju „Nürnberger Trichter" — w zastosowaniu do tematu.

Herminja Naglerowa.

Wyrok Boży

W tych dniach pojawi się na półkach księgarskich „Powieść o Józefie Piłsudskim", napisana przez Gustawa Olechowskiego. Będzie to pierwsza wielka biografja Marszałka. Utalentowany pisarz nadał jej formę powieści. Dzieło to ukaże się w Wydawnictwie „Renaissance" w Stanisławowie równocześnie w językach: angielskim, francuskim, niemieckim, czeskim i rumuńskim.

Poniżej przyłaczamy za zezwoleniem wydawcy oryginalny w koncepcji i przepięknie napisany prolog do tej książki.

* * *

Wszystko, co myśl ludzka tworzy, jest możliwe, bo inaczej nie mogłaby się ona sformułować. Czy jest możliwa jej realizacja na Ziemi, czy na innej planecie — nie ważne to. Pyłem jesteśmy, a duch jest wszechprzestrzenny. Życie świata jest niezmierne w czasie, który istnieje tylko dla wymiaru naszej chwili ziemskiej, naszego krótkiego czyśćca. Gubi on lub uświetnia. Jeżeli gubi, to powtarza się po wielekroć, aż godnym się stanie Światła ten, który żył na ziemi.

Istoto pyszna, choć pozór miałaś pokory, człowieku wielki, jakżeś nędzny, gdy duch twój opuścił materję! Ostatniem westchnieniem ciała uwolniłeś ducha z powłoki, a strach i przerażenie stało się jego udziałem.

Gdzie jesteś duchu?

Patrzysz na siebie — ludzie to nazywają trupem — i pojąć nie możesz, co się stało. Czemu widzisz, czujesz, myślisz, pamiętasz i czemu zwiewnie krążysz nad tem oto ciałem w sutannie, na skromnem łożu spoczywającem — bez ruchu, zimnem, ohydnem, cuchnącem? A czemuż ożywić go nie możesz?

Zimno ci i nie wiesz, dokąd iść masz, choć ruch twój tak łatwym jest, jak ruch wiatru. Szczelinę drzwi bez trudu przeniknąłeś, nad wieżę się wyniosłeś, odwiedziłeś — niewidziany przez nikogo — kościół, gdzie kazałeś, gdzie gromiłeś szlachtę, rycerstwo, panów, ba, samego króla! Nieciłeś iskry miłości Ojczyzny, ale lodowe to były już serca i zarzewia nie dawały. Prorokowałeś zgubę, nieszczęścia na nich, na kraj, ale nikt w to nie wierzył. Malowałeś straszne obrazy idącej niewoli, ale to były słowa, które ostawały w uszach obojętnych, do rdzenia mózgu nie dochodząc. Czułeś za wszystkich, ale to nie wystarczało. Walczyć się zdawałeś z Polakami o ich i twoją Polskę, ale oni walki nie przyjmowali.

Wierzyłeś, że jesteś nieśmiertelny, ale teraz dopiero widzisz to. Błąkasz się po przestworzach, ze zdumieniem ocierasz swe eteryczne, smukłe, nikłe światełko szare o takież miljony innych, i o miljony jeszcze innych, nieznanych ci, z których jedne potwornemi ci się wydają, drugie czarownemi widziadełkami, od których promienie idą wszystkich kolorów.

Jeden z tych duchów, od których światło szło olśniewające, otoczył cię i wyszeptał:

— Nie trwóż się, pomocnym ci będę...

— Gdzież jestem? — spytałeś.

A on ci rzekł:

— Nie czas ci jeszcze, byś się dowiedział.

I błądziłeś znów przerażony. Rozumiałeś, żeś skończył życie ziemskie nieodwołalnie...

O jakżeś się mylił!

Jakże długo jeszcze związany byłeś z niem, z ziemią, z Polską!... Patrzałeś smutny na sprawdzanie się swoich przepowiedni. Widziałeś, jak Ojczyzna twoja w przepaść się stacza, puściwszy mimo uszu, a głównie mimo serca, proroctwa twoje.

Myślałeś za życia, że spełniasz misję swoją, — każąc.

A teraz widzisz, że nie słów im trzeba było, lecz bata i miecza.

— Czyliż Słowo nie jest czynem Boga? — pytałeś ducha dobrego, który prowadził cię poprzez przestrzenie międzyplanetarne, jak anioł opiekuńczy, do coraz to większych świateł, które cię oślepiały.

— Jest czynem Boga — odpowiedział ci, — ale nie ziemskiej istoty. Miałeś dane siły wielkiego rozumu i woli, poświęcenia i miłości, aleś nie zdołał przekuć ich w stal czynu.

— Kapłanem tylko byłem, — broniłeś się — ale poświęcać się kazałem, mówiąc: „Kto zdrowie swoje miłuje — traci je. A kto je utraca — znajduje je".

— Ale nie utraciłeś go, — duch ci odpowiedział...

I znów przechodziły długie czasy, według wymiarów ziemskich, a chwila tylko dla ciena coraz to straszniejsze dzieje narodu twego.

Potop wojen nieprzewidzianych, nieprzygotowanych, nieuniknionych, nieprzeciwdziałanych zalał Rzeczpospolitą. Kłócili się książęta, kłóciły sejmiki, obojętnym był lud, bo nie jego Ojczyzna była.

Schodziłeś wówczas znów z zaświatów na padoł czyśćcowy i szeptałeś przewodnikom:

— „Rzeczpospolita zowie się powszechnem miastem, za którą umrzeć i ze wszystkiem się jej oddać i w niej wszystkie pociechy położyć i onej je poświęcić winni jesteśmy."

Ale nikt cię nie słyszał, więc nikt nie rozumiał.

A gdy mało który syny swoje na potrzebę oddawać się kwapił — jęczałeś mu we śnie jego:

„Dlatego syny rodzimy, aby był kto za Rzeczpospolitą umierając."

Lecz ten za zmorę to miał, a ty się dziwiłeś.

Przypomniałeś im bezład upadku ludu, który Bóg na zagładę przeznaczył:

„Czasu onego nie było króla w Izraelu, ale każdy czynił to, co mu się zdało."

Ale — „to było" — mówili.

I znów, oderwany od ziemi, leciałeś w sfery, obce już życiu i czułeś się straszliwie sam.

Własnem ci było to uczucie, boś i za życia sam był, jedyny sprawiedliwy — wśród inszości bliźnich.

I wówczas już nie dziwowałeś się, że ci nie sprzyjali, bo cię za swego nie mieli.

A potem znów wiek mijał i patrzałeś, rozpaczy pełen, jak króle obce a nikczemne, z imienia tylko za polskie się mające, buszowały, nic nie dając, a wiele biorąc, — jak sąsiady mocarne naigrawały się z impotencji polskiej, jak krajały ciało macierzy, jak ona w grób się kładła.

Krwawiło wówczas serce twoje i miotałeś się w niemocy po nieznanych ci eterach, szukając Boga, wołając ratunku.

Skargą byłeś na ziemi, i skargę teraz przed tron Boży zanieść pragnąłeś.

Ale znaleźć Go jeszcze nie mogłeś, bo nie spełnił się dzień.

Więc tylko duchy lepsze, które po niezliczonych próbach na szczeblu tym już były, że doszły do zrozumienia istoty bytu, a które cię otaczały, — wsłuchiwały się w żale twoje:

— Zeszedłem z Ziemi — mówiłeś — pozostawiwszy memu narodowi straszne przepowiednie — upadku, niewoli, — ale i zmartwychwstania. Czy nie czas już na Dzień Trzeci?

Tylko poświst wichrów zimnych i duchów oddalenie było ci martwą odpowiedzią.

Zwątpienia pełen bluźniłeś cichem utraceniem nadziei.

Bo widziałeś, jak wolny i za czasów ziemskich twoich dumny siłą, bogactwy, potęgą — naród w niewolę upokarzającą wpadł, poćwiartowany, jak obce przemoce gwałtem zakon i prawo swoje, bezprawiem będące, narzuciły, jak imię Polski wymazane było z życia, nawet z pamięci tych, co niegdyś przyjaciółmi jej być się mienili, jak dzieci katowano za pacierz w języku ojców mówiony, jak niewiastom gwałt czyniono, jak mężów

Teatry Warszawskie

(TEATR NARODOWY: *„Dziękuję za służbę“, komedja Włodzimierza Perzyńskiego).*

Że tragedje ludzkie powstają bardzo często bez winy samych ludzi, o tem wiedzieli dobrze już Grecy. Bohaterowie dramatu attyckiego cierpią wskutek fatalnego zbiegu okoliczności, pętającego ich w nieubłaganą sieć powikłań, z której wyzwoleniem jest tylko śmierć. Dramat nowożytny zna również fatum, choć nie jest ono zsyłane na człowieka przez moce olimpijskie: tkwi ono bowiem w samej duszy ludzkiej, ale tembardziej jest okrutne. Nieszczęścia bohaterów często są tu nieuchronnem następstwem odmienności konstrukcji ich dusz, które, niby źle do siebie dopasowane maszyny, łamią się wzajemnie ruchem swych trybów. Każda z tych maszyn spełniłaby swe zadanie doskonale, ale zmuszone do pracy łącznej, niszczą jedna drugą.

To, co powiedzieliśmy wyda się może dziwne w zastosowaniu do komedji, ale po pierwsze sztuka Perzyńskiego zawiera w sobie niemało żywiołu tragicznego (panuje teraz moda nazywania takich sztuk komedjami — czy nie dzieje się to ze względów... kasowych?), a po drugie komedja jest przecież również dramatem, tylko inaczej traktującym swój konflikt, niż tragedja.

Otóż tym fatalnym konfliktem jest w „Dziękuję za służbę“ zasadnicza różnica w strukturze duchowej, jaka dzieli Annę z jednej strony od jej męża, z drugiej — od dzieci. Granicki, uczony szekspirolog, jest typowym molem książkowym, egoistą, nie widzącym na świecie rzeczy ważnych poza swą pracą i sobą samym, mózgowcem, którego normalnym środkiem wyrażania myśli jest zgorzkniały aforyzm, człowiekiem o wysokiej kulturze intelektualnej, a o żadnej kulturze serca. Osobnik taki, gdyby spędził życie samotnie, pozostawiłby ludzkości kilka pożytecznych dzieł i w ten sposób spełnił spokojnie swe zadanie na świecie. Ale właśnie wpadł był ongiś na pomysł ożenienia się. I połączył się z kobietą o dużej kulturze serca a o miernej kulturze umysłu. Taka żona musiała mu prędzej czy później działać na nerwy. Im serdeczniejsze było ciepło, z jakiem odnosiła się do niego, tem wzgardliwsza była opryskliwość, jaką jej się odwzajemniał. Stała mu się nietylko niepotrzebna, ale i nieznośna. Pierwsza tragedja.

Drugą był dla Anny stosunek do niej dzieci. I tu rozdźwięk miał swe źródło w różnicy istot duchowych. Matka, choć kobieta jeszcze młoda, żyła pojęciami epoki minionej, powiedzmy: przedwojennej. Syn i córka stali się arcynowocześni. Staroświeckość sposobu myślenia matki budziła w nich politowanie. A Anna za mało miała inteligencji, by móc przystosować kategorje, któremi myślała, do zmian obyczajowych, jakim podlegało życie współczesne. I ujrzała z przerażeniem, że i dzieciom jest niepotrzebna, bo potrzebna tylko do prowadzenia gospodarstwa. Więc „podziękowała za służbę“ i opuściła dom.

Taki jest schemat aktu pierwszego komedji Perzyńskiego. Akt ten jest w całem tego słowa znaczeniu doskonały. Świetnie podmalowane środowisko, uchwycony ów kwaśny odór „domu rodzinnego“, w którym — jak powiada Boy — „każdy mówi o czem innem“, sylwetki osób naszkicowane zarazem z mocnym rozmachem i subtelną precyzją. Cała tragedja Anny mieści się bez reszty w tym akcie. Ale sztuka musi mieć ich trzy. I tu zaczyna się nowa tragedja, ale już nie bohaterki, lecz autora. Perzyński czyni rozpaczliwe wysiłki, by akcję kontynuować, ale im bliżej końca, tem mniej mu się to udaje. Doczepia jakieś niepotrzebne historje, czyjeś tam zaloty do Anny, jakieś wątki, które się urywają, zaledwie zostały zawiązane (np. zamierzona intryga Dzidzi w ostatnim akcie), a wszystko to do pierwszego aktu ni przypiął ni przyłatał. Degrengolada na całej linji. Taka sama, jak w „Uśmiechu losu“, tylko znacznie gwałtowniejsza. Ostatecznie ciągnięta za włosy akcja kończy się małżeństwem Anny z owym adoratorem, a kurtyna opada z głupią miną...

Źródło niepowodzenia Perzyńskiego tkwi w wątłości akcji jego sztuki. Jedynie akt pierwszy posiada pewien zaród akcji, a już talent autora umiał uczynić z tego aktu małe arcydzieło. Pozostałe akty nie posiadają nawet takiego embrjonu akcji, więc udać się nie mogły. Zamiast prowadzenia akcji mamy tu tylko szkicowanie sylwetki, środowiska i obyczajów: materjał raczej na nowelę, niż na sztukę.

Mimo to wszystko przedstawienie było bardzo interesujące. Bystrość obserwacji Perzyńskiego i jego mądry dowcip zrobiły swoje. Reszta zasługi należy do artystów. P. Dulębianka w roli tytułowej była może trochę monotonna, przypominając poniekąd swą grę w roli żony Solnessa. Najlepsza na scenie była bezwzględnie p. Ola Leszczyńska, jako współczesna dziewica; bardzo dobrze, choć nie bardzo oryginalnie grał p. Justjan (Granicki), wpadający zbytnio w styl ś. p. Kamińskiego; zabawny, jak zwykle, był pan Kurnakowicz.

Ignacy Wieniewski.

TEATRY ŁÓDZKIE.

Sprostowanie.

Do sprawozdania z „Dziejów grzechu“ zakradła się omyłka, którą niniejszem prostujemy:

W ustępie przedostatnim, w wierszu 8 od dołu powinno było być: „w niektórych scenach wybitnie **adramatycznych** (na Korsyce, u Bodzanty, na ulicy w Paryżu)“ i t. d.

Z rosyjskiego życia teatralnego

Meyerhold i Czechow

Meyerhold, za genjalnego do niedawna podawany sowiecki reformator teatru, popadł w niełaskę. Miał on zorganizować teatr dla mas sowieckich i w tym celu korzystał przez szereg lat z bardzo wielkich subsydjów rządowych. Tymczasem Meyerhold poszedł na nowatorstwo i eksperymenty. Odznaczał się zwłaszcza zupełnym brakiem pietyzmu dla klasycznych dzieł scenicznych, które wystawiał w najzupełniej dowolnych przeróbkach i inscenizacjach. Ten brak pietyzmu dla klasycznej kultury scenicznej zniechęcił publiczność moskiewską do teatru Meyerholda. Trzeba bowiem wiedzieć, że publiczność moskiewska jest najbardziej teatralną publicznością na świecie i że kult teatru wyrabiali w niej ludzie tej miary co Stanisławski. Ostatnio Meyerhold wystawił w swoim teatrze sztukę Gribojedowa: „Nieszczęście przez zbytek mądrości“. Sposób inscenizacji tej sztuki wywołał powszechne oburzenie. Meyerhold doprowadził samego siebie do absurdu. Zaledwie najskrajniejsze elementy zdobyły się na obronę tej inscenizacji. Prawie bezpośrednio potem teatr Meyerholda został zamknięty i wszelkie subsydja zostały mu wstrzymane. Stało się to w czasie nieobecności Meyerholda w Moskwie. Łunaczarskij miał oświadczyć, że rząd sowiecki przestał się interesować projektami teatralnemi Meyerholda. Podobno Reinhard ma zamiar zaangażować Meyerholda do swoich teatrów w Berlinie, gdzie miałby wyreżyserować kilka sztuk dla zaznajomienia publiczności berlińskiej z najnowszemi eksperymentami teatru rosyjskiego.

Upadek Meyerholda wywołał silne wrażenie wśród moskiewskiej publiczności teatralnej, znacznie jednak głębsze wrażenie wywołał wyjazd zagranicę znakomitego aktora sowieckiego Czechowa, bratanka słynnego pisarza. Czechow wyjechał do Berlina, podpisawszy umowę z Reinhardem. W Moskwie Czechow prowadził t. zw. „Drugi Teatr Artystyczny“ i pielęgnował w nim tradycje Stanisławskiego. Pod koniec ubiegłego sezonu wśród artystów powstała opozycja przeciw Czechowowi. Zarzucano mu mianowicie, że zbyt oddaje się pielęgnowaniu klasycyzmu, a za mało zwraca uwagę na rewolucyjny charakter państwa sowieckiego, któremu również i teatr winien służyć jako narzędzie propagandy ideałów rewolucyjnych. Czechow utrzymał się jednak do końca sezonu, ale dodano mu doradców politycznych. Widocznie zniechęciło to wielkiego artystę i zdecydował się opuścić Rosję. Wyjazd Czechowa oznacza olbrzymią stratę dla teatru rosyjskiego.

W ten sposób Moskwa traci dwie najwybitniejsze postacie swego teatru. Z jednej strony najbardziej radykalnego i najskrajniejszego radykała, nowatora i rewolucjonistę, a z drugiej strony reprezentanta konserwatyzmu artystycznego, wzbraniającego się oddać teatr na służbę polityki.

Wynika z tego wyraźnie, że ideał sowieckiej polityki teatralnej leży pośrodku. Że dosyć już tam mają rewolucyjnych eksperymentów w teatrze, ale bynajmniej nie myślą o powrocie do dawnych tradycyj.

BALDWIN PRZECIW ROSTANDOWI.

Maurice Rostand napisał nową sztukę teatralną p. t. **„Napoleon IV“**. Treść sztuki osnuta jest na wypadkach z życia księcia Ludwika Napoleona, który zginął tragicznie w czasie podróży po Afryce, zamordowany przez dzikie plemię Zulusów. Rostand przedstawia tragiczną śmierć Ludwika Napoleona jako rezultat spisku angielskiego. Wystawienie tej sztuki w Paryżu wywołało silny odruch oburzenia w Anglji, tembardziej, że znajduje się w niej kilka wysoce napastliwych wycieczek przeciwko niezmiernie popularnej w Anglji królowej Wiktorji. Oburzenie w Anglji przybrało takie rozmiary, że premjer Baldwin w czasie ostatnich swoich rozmów z Poincaré'm sporo czasu poświęcił tej sprawie, domagając się od premjera francuskiego wydania zarządzeń, zawieszających dalsze wystawianie tej sztuki.

---

uprowadzano do więzień i gnano w pustynne lody i śniegi, niby zbirów, za to, że jeszcze Ojczyznę kochali i dla niej coś czynić chcieli, —jak rabowano kościoły, jak niecono nienawiść wśród dawnych braci — ludów Rzeczypospolitej, jak katowano młodych i starych, jak nikczemniono im dusze zdradą zwoich, jak wszczepiano im służalczość, strach, odbierano wiarę i nadzieję, jak plugawiono im duszę kłamstwem o ich sławnych dziejach rycerskich i szlachetnych, jak czyniono z nich niewolników, jak wisiał nad nimi bat, ale nie ojcowski, a katowski, jak — o zgrozo! — Polak-niewolnik do niewoli się wzwyczajał, pokój w niej znajdował i rad był, że jeszcze żyć mu pozwalano, jak tworzyły się stopniowo nie trzy narody już, ale trzy gatunki niewolników, jak lico nawet ziemi tej pozór polski traciło, jak lepsi oddech gubili, a ostatkiem sił jarzmo zrzucić pragnąc, krwawili to pokolenie dla samego męczeństwa tylko, dla samego świadectwa prawdy i prawa do życia, jak soki wszystkie z tej ziemi wyciągano dla tuczenia wrogów, jak wszystkie siły narodu szły na samą walkę o życie, a nic przysporzyć nie mogły, jak okradano kraj z dóbr nagromadzonych, jak szarem było życie, jak zamierało, jak nikło i godziny już tylko zdawało się liczyć, ale nie do zmartwychwstania, a do śmierci ostatecznej.

Widziałeś to.

I zbudziłeś w sobie wszystkie siły, przywołałeś na świadectwo wszystkie twoje dobre uczynki, pomyślenia, wiarę niewzruszoną i wezwany zostałeś przed tron.

Łzy krwawe lały się strumieniami z szarego światła twoich oczu tak, że cała postać twoja bezcielesna krwawą łuną była.

Oślepiony blaskiem majestatu, jako wielki podsądny, milczałeś w skrusze, unicestwiony niezmiernem szczęściem porachunku.

A gdy już dostąpiłeś łaski mowy—tak rzekłeś:

— O Boże! Rozumiem teraz, że przyszedłem był ongiś na ziemię za późno. Mogłem już tylko stwierdzić przeddzień upadku narodu mego. Powstrzymać go nie miałem sił, bo wybrałem niewłaściwą drogę. Nie księdzem winienem był być, lecz rycerzem. Nie kazać winienem był, lecz rozkazować. Nie na ambonie, lecz na tronie siedzieć. Nie słowami biczować, lecz biczem. Polska upadająca nie mogła korzystać z mego kazania. Dawałem przykład. W życiu mojem czyn szedł za słowem, jak grom błyskawicy, ale któż mnie naśladować chciał! Całe życie moje na walce i potykaniu się mężnem upłynęło, ale na niewłaściwem polu. Nieulękły byłem, sam przeciw wszystkim stałem, ale w próżnię uderzając. Wymiatałem błędy, a nowe wyrastały. Odwagą gromy na siebie ściągałem. W pismach mnie lżono i wyszydzano, przez wynajętych zbirów napadany byłem i policzkowany i o mało życia nie pozbawiony. I nic z tego. Suknia kapłańska pokorę znaczyła, a pokornego na ziemi nikt nie słucha. Bo naród mój nie słowem rozgrzać, a żelazem gorącem. Kaznodzieja i polityk nie odrodzi Polski, lecz Czyn, Szabla i Rozkaz. Broniłem jedynowładztwa, ale myślano, że temu, iżem katolik i papieżnik. Wyzywałem jeden wszystkich, ale nie stanąłem z nimi do boju: władzy nie miałem. Przebacz mi to, o Boże! Mea culpa, mea culpa! Bo dla zdrowości narodu, tom był winien uczynić. Czas dziś nadszedł, bo dzień się trzeci uczynił. Na krzyżu rozpięcie —to dzień pierwszy. Noc grobu niewoli — to dzień wtóry. A jeżeli nie uczynić dnia trzeciego dzisiaj, nie otworzy się już nigdy kamień grobowy. Niewola ma się już ku końcowi, bo gdyby dłużej trwała, nie byłoby już komu zmartwychwstać. Ale, o Boże, gdzież mocny człowiek, który odwali ten kamień grobowy? Kto będzie śmiał! Serce swe na kawały rwałem i słuchaczom rzucał, miast je, o Panie...

Nie dokończyłeś, boś głos Pana usłyszał:

— Iżeś nie dopełnił służby, której ci do pełnienia siły dałem, — wrócisz na ziemię i władzy się imiesz.

* * *

Krążył więc znów, po wiekach, nad ziemią.

Przeraziła go ona — ta ziemia polska.

Okryta była kirem, usiana krzyżami i mogiłami świeżych męczenników.

Bo na ziemi tej był rok t y s i ą c o s i e m s e t s z e ś ć d z i e s i ą t y s i ó d m y.

Skurczona była Ojczyzna, znękana i jęk jej słychać było od Warszawy do Kamczatki. Po jęku tym trafił do niej, jak żóraw do gniazda swego trafia po wędrówce dalekiej.

— Z tego oto zbiedzonego, wymęczonego narodu mam li dobyć sił do walki ostatecznej? Jakże to? W kogo mam się wcielić?

— Czy w możnego pana, jacy jeszcze pozostali? środki może do walki miałbym łatwiejsze i znaczne, ale czyż z tego gniazda byłbym chętnie przez naród widziany po smutnem jego doświadczeniu z doby upadku, i czy w tem środowisku uchronię się w wieku młodocianym od pokus życia?

— Bo gdy znów zejdę na ziemię, utracę wnet moją wiedzę, pamięć, wolę. Jeno nieuchwytne siły duchą przekażą się w jedności bytu, w ciągłości i konsekwencji.

Czy może wśród ludu mógłbym znaleźć matkę?

— Ale czy nie za wielkie będą mi trudności do zwalczenia, by z nizin na takie wyżyny dojść przez krótkie ziemskie życie, by dokonać, czego mam dokonać?

Nie! Wybiorę raczej ten stan, który ma w tradycjach swoich całą Polski historję, wszystkie walki i zdobycze, najlepsze obyczaje, który rdzeń narodu przez tyle wieków tworzył, i rycerzem był i oraczem,

— W stan szlachecki wzejdę.

— Ale w której ziemi?

...tam, gdzie najgoręcej wrzała walka ostatnia, gdzie najwięcej cierpią, gdzie najliczniejsze groby i krzyże, gdzie krzywda najsroższa, a wróg gdzie najgłupszy. I w tej dzielnicy jeszcze szukajmy kąta, gdzie ludzie najtwardsi, uparci, mocni, wytrzymali...

— Na Litwie...

I począł duch niewidzialny odwiedzać dwory, patrzeć na ludzi, na czyny ich, szukać gdzie kobieta w połóg zlec miała, czyhać na przyjście na świat dziecka.

Aż zajrzał do Żułowa, pod stolicę Gedyminową, gdzie patronował były komisarz cywilny na Żmudzi z ramienia powstańczego Rządu Narodowego.

Matka jego i siostry po więzieniach moskiewskich cierpiały. Nastrój domu był godny, pełen pracy dla swoich i dla wszystkich. Dzieci chowane w miłości Ojczyzny i nieugiętej postawie względem wroga. Dzielność i uczciwość tego domu głośne były w okolicy. Żona miała zlec.

Tu osiadł duch u wezgłowia matki, z cnót znanej i Polki nieskalanej.

Czuwał i czatował na cudowną chwilę.

Tak nad każdem rodzącem się dzieckiem duch czeka, by inkarnować istotę swoją dla dalszego doskonalenia się w czyśćcu ziemi.

Jakież szczęście dla dziecka, gdy wcieli się w nie istota wyższa, która przeszła już kiedyś gehennę zła! I cóż za los, gdy wejdzie weń duch niższy, który, z ustrojów niedoskonałych idąc, nie może nic jeszcze dać człowieczego krom ułomności instynktów pierwotnych i zbrodni.

A oto ostatnie boleści rodzącej. I ostatnie bolesne ducha myśli. Za chwilę z długiej, długiej wędrówki we wszechświecie, znów skazany na życie ziemskie, w którem musi dokonać nowej próby. Oto moment ostatni życia zagrobowego, koniec jeszcze jednego etapu wieczności i początek krótkiego, niezmiernie krótkiego, nowego bytu ziemskiego.

Czuł, że traci stopniowo mądrość wiedzy, jaką posiadł w zaświatach i że staje się znów nieświadomym, nędznym i bezwolnym. Strach go posiadł przed niewiadomem.

Jeszcze jeden, ostatni krzyk matki — i duch stał się życiem ziemskiem.

Gustaw Olechowski.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Bezwład czy apatja?

Terminy wekslowe i warunki zapłaty.

O wydłużających się stale terminach wekslowych w handlu mówi i pisze się wiele, jako o objawie ujemnym i szkodliwym i utrudniającym normalny rozwój obrotów towarowych — ale wcale, lub o wiele zamało spotyka się w prasie wyjaśnień, dotyczących zarówno przyczyn, jak i możliwych następstw tego objawu. A przytem tak przyczyny, jak i następstwa tak głęboko sięgają do podstaw naszego życia gospodarczego, że zasługują na jak najbaczniejszą uwagę społeczeństwa w najszerszym sensie.

Skąd powstał długi weksel? Dlaczego terminy 3, lub 4-miesięczne zamieniły się w ciągu roku ostatniego w 6-o, 7-o lub nawet w niektórych dziedzinach 9-miesięczne? Mówi się: dawniej, przy handlu z rozległą Rosją, same odległości stwarzały konieczność uznawania tak rozciągłych terminów, ale dzisiaj tej fizycznej potrzeby przecie niema. To jest słuszne — ale to tylko negatywne stwierdzenie, wyjaśnienie zaś wymaga stwierdzeń pozytywnych.

Zdaje się, że nietylko na pierwszem miejscu, ale wogóle jako przyczyna główna i decydująca wymieniona być musi okoliczność najdonioślejszego znaczenia, że warunki sprzedaży uważane są naogół przez kupiectwo za martwe słowo, z którem liczyć się nie potrzeba. Nawet kupcy, którzy uważaliby za wielkie uchybienie przeciwko swemu honorowi dopuszczenie weksla do protestu z uchybieniem terminowi i warunkom płatności r-ku otwartego godzą się niezmiernie łatwo, chyba, że wyjątkowa jakaś konjunktura wzbudza w nich obawę nieotrzymania towaru przy nowem zakupnie. Tylko w tych wypadkach zgoła wyjątkowych kupiec liczy się z warunkami. Gdy jednak układ konjunktur pozwala mu wierzyć, lub nawet mieć pewność- że jeżeli uchybi jednemu dostawcy, to znajdzie dziesięcu innych — to już opanowuje sytuację w tym sensie, że wymierza pokrycie nie według warunków, na jakich towar nabył, lecz według własnej chęci, wygody lub swawoli.

Zło leży w tem, że tego się u nas nie piętnuje i taki kupiec, notorycznie niepoprawny i niesumienny, pozostaje pożądanym klientem. Inaczej dzieje się na zachodzie, gdzie niepoprawny klient nie znajduje dostawców i gdzie ten stan rzeczy doprowadził do tego, że dostawca w 30-ym lub 90-ym dniu płatności swego rachunku, poprostu dysponuje odnośną sumą, bo ma bezwzględną pewność, że ona wpłynęła. Jest i u nas w Wielkopolsce pewna sfera klienteli, która przeszła przez szkołę utrwalonych rygorów kupieckich i stanowi dotąd wyjątek wśród przemożnej większości niepoprawnych i obojętnych. Uzasadnioną jest wszelako obawa, że prędzej zły przykład większości oddziała ujemnie na ową wyjątkową mniejszość, aniżeli odwrotnie dobry przykład wyjątków pobudzi do naśladownictwa opornych.

Winić nie można nikogo i wszystkich. Bo nie mniejszą winę od niepoprawnego klienta ponosi uległy dostawca, tolerujący tę niepoprawność i godzący się z nią. Zatem ciężar winy przenosi się na warunki: niezmiernie słabe podstawy materjalne przemysłu, pozbawionego sił dla skutecznego przeciwstawiania się swawoli klientów; zmienność i niepewność konjunktur na rynku wewnętrznym; zawodna pojemność tego rynku; całkowity brak solidnego ufundowania kupiectwa.

Skutki tego stanu rzeczy są jak najgorsze. Najgorszym z nich jest całkowite zburzenie podstaw dla zdrowej kalkulacji. Przemysłowiec, przeprowadzający kalkulację w rachubie na 3-miesięczne pokrycie, a otrzymujący zamiast tego 4-o, lub 5-miesięczne, zmienia z konieczności podstawy kalkulacyjne, które jednak natychmiast zkolei zostają zburzone przez dalsze samowolne wydłużanie terminów przez klientelę. Bezpośrednim wynikiem tego jest ponad potrzebę wygórowany poziom cen, chaos i groźny rozwój demoralizacji. Bo z jednej strony owe kalkulowane z koniecznym współczynnikiem ostrożności ceny pobudzają poprawnych klientów do stopniowego obniżania poziomu swej poprawności, z drugiej zaś, naskutek bardzo znacznej różnicy między ceną wekslową i gotówkową, całkowicie wykolejają rynek i czynią normalną konkurencję zupełnie niemożliwą.

Wytwarza się z tego błędne koło. Trudność konkurowania pobudza do wyrzekania się zysku, lub nawet godzenia się ze stratą, co zkolei wywołuje usiłowanie powetowania jej sobie przez odwleczenie terminu płatności — i w nieubłaganym związku przyczynowym detalista zarywa hurtownika, a hurtownik w konsekwencji przemysłowca.

Już najwyższy czas uświadomić sobie całą wielką powagę sytuacji, jaka się wytworzyła i która czemprędzej wymaga szybkiej, istotnej, głębokiej sanacji. **Powszechne wytwarzanie brakującego ogólnie kapitału obrotowego przez coraz to dalsze odwlekanie terminów płatności — to nawet nie paljatyw: to groźne przesłanianie rzeczywistości złudnemi pozorami, pod pokrywką których owa rzeczywistość staje się coraz smutniejszą, jak grzyb w podłodze, pokrywany farbą.**

Lepiej zajrzeć prawdzie w oczy i naprawić zło gruntownie. Może to być i trudne i kosztowne, to prawda. Ale lepiej ponieść ten trud i koszt, aniżeli narazić się na to, że w chwili zerwania się sztucznych wiązań mogą powstać u podstaw takie spustoszenia, od których poważnie zarysować się może cały oparty na nich gmach.

Są przecie i czysto gospodarcze przyczyny obecnego tak bardzo pogorszonego przebiegu tranzakcyj handlowych. W pierwszych latach powojennych obroty były bardzo szybkie, towary nie zagrzewały miejsca na półkach, poziom wybredności był naturalnie obniżony i kupujący w braku poszukiwanego towaru łatwo zastępowali go innym. Warunki te sprzyjały szybkiej likwidacji tranzakcyj. Jednakże wraz ze wzrostem produkcji, nasyceniem pierwszego głodu towarowego, rozszerzaniem się sfer nabywców, wzrastał również poziom wybredności i powstała konieczność sowitszego zaopatrywania się w zapasy i sortymenty. Przy bezwzględnej niedostateczności własnych kapitałów obrotowych w kupiectwie zadośćuczynienie tej konieczności wywołało potrzebę rozszerzenia ram rozporządzalnego kredytu tak pod względem sumy, jak i terminów. I niezawodnie trzebaby było uznać pogodzenie się z tem za nieuniknione w specyficznych naszych warunkach i przemysł musiałby się przestawić z terminów kredytowych krótszych na dłuższe. **Ale nie na nieokreślenie dłuższe i stale się samowolnie wydłużające! Jeśli dłuższy termin jest konieczny — to niechaj będzie dłuższy, ale niech będzie terminem! Gdy zamiast 3-ch miesięcy potrzeba 5-ciu, to niechaj będzie 5 miesięcy, ale nie 6 lub 7!**

Stanowcze, ostre, bezwzględne przeciwstawienie się tej szkodliwej płynności warunków stanowi istotę i przedmiot walki, której podjęcie jest w pierwszym rzędzie zadaniem przemysłu.

Dopóki przemysłowiec polski, a przez niego najbliższy mu hurtownik, a przez tego zkolei wielki i mały detalista nie przejmie się **dogmatem, że termin jest terminem, warunek warunkiem;** dopóki to uświadomienie nie stanie się **abecadłem stosunków gospodarczych;** dopóki od tych niezłomnych zasad będą czynione odchylenia w interesie obrotów, a ku szkodzie zeuropeizowania się naszych stosunków — **dopóty żyć będziemy w coraz gorszych warunkach złudzeń i w coraz groźniejszem niebezpieczeństwie katastrafy.**

Dopóki przemysł nie zdobędzie się na męstwo poniesienia ofiar w interesie jej zażegnania — **dopóty bańkę mydlaną uważać będzie za konjunkturę.**

I przypuszczać trzeba, że dobrze dziać się musi przemysłowi w Polsce, skoro tak potulnie i biernie przygląda się rozrostowi tych podkopujących jego byt niesfornych warunków, niepomny tego, że ta bańka mydlana pęknąć może z nader niemiłą detonacją.

M. B.

EKSPORT WIEPRZOWINY I WĘDLIN.

Eksport wędlin (bekonów) napotyka na znaczne trudności ze względu na silną konkurencję innych krajów, które wyspecjalizowały się w tych wyrobach oraz z powodu małego doświadczenia naszych eksporterów, dzięki czemu nasze wyroby niezawsze odpowiadają wymaganiom danego rynku zagranicznego. W tej dziedzinie wysiłki nie ustają i nie ulega wątpliwości, że Polska z biegiem czasu stanie się jednym z głównych eksporterów wyrobów z mięsa wieprzowego i że te wyroby zdobędą sobie międzynarodową markę. Narazie trzeba równolegle prowadzić eksport nieprzerobionego mięsa wieprzowego, gdyż ekrport wędlin nie jest w stanie pochłonąć wszystkiego, co możemy i musimy wywieźć. W tym celu powstają obecnie dwie wielkie rzeźnie eksportowe, jedna w Dębicy, a druga w Chodorowie w Małopolsce, a w Gdyni buduje się wielkie chłodnie. Park wagonów-chłodni jest już dostateczny, okazuje się jednak potrzeba budowy w wielu punktach kraju większych chłodni, w których możnaby gromadzić zapasy mięsa, przeznaczonego na eksport. Pozatem potrzebne jest powiększenie tonażu morskiego, wyposażonego w urządzenia chłodnicze. To są obecnie najpilniejsze inwestycje, które trzeba poczynić, aby ugruntować eksport mięsa i wyrobów wieprzowych i innych produktów zwierzęcych. Produkcja tych artykułów zwiększać się będzie w Polsce z roku na rok i stanowić one będą w przyszłości jeden z najważniejszych naszych artykułów eksportowych.

Koniecznem jest przytem, aby eksport mięsa wieprzowego, bekonów i innych produktów zwierzęcych nastawiony był na rynki dalszego zachodu, a to z tego względu, że eksport na rynki najbliższe, t. j. do Niemiec i Czechosłowacji napotykać będzie na coraz to większe trudności, gdyż tamtejsze sfery agrarne niechętnie widzą konkurencję polską.

Mimo rozwiniętej hodowli świń i koniecznego eksportu mięsa wieprzowego i świń żywych, sprowadzamy jednak olbrzymie ilości smalcu amerykańskiego. Dzieje się to dlatego, że hodowcy polscy rzadko tylko tuczą świnie a to dla braku kapitałów, dzięki czemu każdy hodowca stara się jaknajprędzej spieniężyć wyhodowane sztuki. Rząd nosi się z zamiarem podniesienia cła na tłuszcze wieprzowe, mając nadzieję, że przyczyni się to do zwiększenia produkcji tłuszczów w kraju.

BEZROBOCIE W NIEMIECKIM PRZEMYŚLE WŁÓKIENNICZYM.

W saskich fabrykach włókienniczych było w lipcu 1927 r. 3700 bezrobotnych, podczas gdy w lipcu b. r. ilość ich wzrosła do 15.800. W porównaniu z październikiem 1927 r., kiedy było tylko 2000 bezrobotnych, wzrost bezrobocia jest znacznie większy. Przy obecnym stanie interesów nie należy oczekiwać, że w czasie najbliższym nastąpić może poprawa. Przędzalnie, zarówno wełny jak i bawełny, mają bardzo mało zleceń i po największej części nie pracują przez pełny tydzień.

SYUACJA W PRZEMYŚLE.

W połowie lutego b. r. ilość bezrobotnych wynosiła 181.229, w połowie sierpnia cyfra ta spadła do 92.435. Dla porównania warto nadmienić, że na początku roku 1926 mieliśmy 363.000 bezrobotnych.

Ilość bezrobotnych, pobierających zapomogi, która do niedawna utrzymywała się na poziomie 100.000, a w niektórych okresach osiągała nawet cyfrę 200.000, zmniejszyła się do połowy sierpnia b. r. na 31.359.

Ilość robotników zatrudnionych w przemyśle i górnictwie wynosiła w grudniu 1925 r. 546.289. W grudniu 1927 zatrudnionych było 706.779 robotników, a w początkach sierpnia b. r. 786.443. W sierpniu i wrześniu cyfra zatrudnionych podniosła się jeszcze. Należy tu nadmienić, że obecnie zaledwie 7.8 procent robotników zatrudnionych pracuje mniej niż przez sześć dni w tygodniu, podczas gdy w roku 1925 i w pierwszej połowie 1926 odsetek częściowo tylko zatrudnionych był znacznie większy.

Ogółem robotników zarejestrowanych w przemyśle, górnictwie, handlu, transporcie i rzemiośle było wkońcu lipca 1,061.174, a w końcu sierpnia 1,092.011. Bezrobotnych, pobierających zapomogi było w końcu sierpnia już tylko 24.172.

W obecnym roku uległy znacznej poprawie warunki emigracji. W pierwszych sześciu miesiącach b. r. mogło wyemigrować z Polski 127.556 osób, podczas gdy w całym roku 1927 wyemigrowało tylko 150.000 osób.

Położenie materjalne robotników przemysłowych od dwóch lat doznaje systematycznej poprawy. Wskaźnik cen hurtowych w lipcu 1928 r. był prawie ten sam, co w lipcu 1927. Od lipca zaś zaznacza się spadek cen zboża, mąki, chleba i mięsa, któremu nie towarzyszy wzrost cen innych ważniejszych artykułów pierwszej potrzeby. Wskaźnik kosztów utrzymania wynosił w sierpniu 1928 r. 103.5 wobec okrągło 100 w przecięciu roku 1927. Nieznaczny wzrost tłumaczy się głównie wzrostem komornego. Od lipca zanacza się spadek wskaźnika kosztów utrzymania. W międzyczasie zaś prawie we wszystkich gałęziach przemysłu nastąpiły podwyżki zarobków, a obecnie stoimy w przededniu nowej akcji podwyżkowej.

BEZCZELNOŚĆ WYJĄTKOWA.

„Deutsche Tageszeitung" 18.IX. w korespondencji z Katowic p. n.: „Polska sabotuje wyrok haski", omawia sprawę Chorzowa. Dziennik podaje dzieje fabryki chorzowskiej, podkreśla ociąganie się Polski z wypłaceniem odszkodowania i zaznacza, że z wydaniem wyroku niestety walka się nie zakończyła. Wogóle osiągnięcie decyzji jest dopiero połową dzieła, jak to zawsze bywa we wszystkich sprawach międzynarodowych. Powołanie rzeczoznawców do oszacowania wartości fabryki pozostawia Polsce otwartą drogę do dalszego grania na zwłokę. Gdy zaś w końcu rzeczoznawcy ustalą sumę, Polska jej napewno nie zapłaci, albowiem Trybunał Haski niestety nie uznał się za kompetentnego do wydania decyzji także w sprawie natychmiastowej zapłaty tej sumy. Polska więc wysunie różne pretensje, które „rzekomo" ma do Niemiec, tak, iż „oszukanym właścicielom przedsiębiorstwa nic nie pozostanie". „Po naruszeniu traktatów i jaskrawych uchylaniach się od zobowiązań prawnych zaczyna ten spór prawny wyrastać do międzynarodowego skandalu. Cała cierniowa droga odzyskiwania zrabowanej własności jest szczególnie znamienna dlatego, co w Polsce możliwe jest pod względem prawnym; oraz dowodem jest tego, że przy najlepszej woli niepodobna przeprowadzić w Polsce zadośćuczynienia słusznym żądaniom. Polskie Państwo ze swoją suwerenną pogardą dla prawa i sprawiedliwości umie wybrnąć z każdej sytuacji".

* * *

Tak piszą Niemcy, którzy w czasie okupacji zrabowali na ziemiach polskich i wywieźli miljardowe wartości, którzy spustoszyli nasze lasy, ogołocili fabryki z maszyn i narzędzi, i t. d. i t. d. i uchylają się od obowiązku odszkodowania.

Ameryka a Europa

W prelekcji, wygłoszonej w Związku Nowojorskich Banków, ekonomista amerykański, Anderson, mówił o naturalnych i koniecznych różnicach w strukturze gospodarczej Ameryki i Europy, wskazując przytem na niebezpieczeństwo, mogące wyniknąć dla Europy z ślepego naśladowania amerykańskich metod pracy.

Jako klasyczny przykład Anderson przytacza różnicę między amerykańskiem i europejskiem gospodarstwem rolnem. W porównaniu z Europą Ameryka jest rzadko zaludniona i posiada w stosunku do ludności niezrównanie większe, ba nawet ogromne, bogactwo ziemi. Europa musi swój stosunkowo mały obszar ziemi intensywnie wykorzystać i, aczkolwiek wydajność jest względnie skromna, zużyć dla pełnego wyzyskania swej ziemi wiele pracy i sił roboczych, których ma poddostatkiem do dyspozycji. Inaczej Ameryka, która ze swem ogromnem bogactwem ziemi może marnotrawnie się obchodzić, ale oszczędnie musi obchodzić się ze swemi siłami roboczemi. Dlatego ziemia amerykańska nie jest tak intensywnie wyzyskana, jak europejska. W amerykańskiem rolnictwie produkcja na morgę jest niższa niż w Europie, mimoto zbiory, licząc na ilość robotników rolnych, są większe. Poszczególny robotnik rolny stwarza wskutek bogatszych i większych środków produkcji większą wartość, niż w Europie.

Podobnie sprawa ma się z pracą przemysłową. Ameryka ma w swojem bogactwie surowców i kapitale do dyspozycji naturalne środki pomcnicze tanio i w rozmiarach, graniczących wprost z nadmiarem. Z drugiej strony siły robocze są i zawsze były nieliczne.

Dzięki temu siła robocza jest tam droga i amerykańskie gospodarstwo zawsze musiało dążyć do tego, aby z jednej strony jaknajbardziej oszczędzać swoje siły robocze, a z drugiej, aby praca robotnika była jaknajbardziej wyzyskana. To ostatnie starano się osiągnąć zapomocą najlepszych maszynowych i organizacyjnych urządzeń, przyczem nie oglądano się nigdy na finansowe ofiary i koszty inwestycyj, gdyż kapitał i inne naturalne środki można było i można jeszcze czerpać z pełnego.

Dlatego płace w Ameryce bynajmniej nie zostały podniesione z premedytacją, ażeby siłę nabywczą ludności podnieść, ale raczej regulacja nastąpiła sama przez się według naturalnego prawa podaży i popytu.

Nadmiar naturalnych środków produkcji i kapitału z jednej strony, a ograniczenie sił roboczych z drugiej strony, oto czynniki, które doprowadziły w Ameryce do wysokich płac. Ale doprowadziły też w koniecznej konsekwencji do produkcji standartowej i masowej. Standaryzacja, jako warunek produkcji masowej, zmniejsza nakład pracy i umożliwia bardziej racjonalne wyzyskanie drogiej siły roboczej. W miejsce artykułów specjalnych, wymagających dużej pracy ręcznej, wyrabia się wielkie masy jednolitych produktów, zdobywających sobie rynek swą taniością.

Czy więc amerykański sposób pracy da się po prostu przenieść do Europy? Anderson oświadcza, że n i e, gdyż w Europie istnieje właśnie odwrotny stosunek. Przy stałem przeludnieniu istnieje w Europie, w przeciwieństwie do Ameryki, nadmiar sił roboczych, podczas gdy naturalne surowce są rzadkie i drogie, a także kapitał jest bez porównania mniejszy.

Europa ma przeto niskie płace, a ten niski poziom stanowi jej jedyną siłę w produkcji, gdyż pod każdym innym względem stoi niżej od Ameryki i jest skazana na to, by oszczędzać wedle możności środkami produkcji i kapitału. *Europa będzie mogła wtedy racjonalnie a tanio produkować, jeżeli będzie wstrzemięźliwa w inwestycjach drogich maszyn i kapitałów i jeżeli natomiast w wysokim stopniu pociągnie do pracy ludzkie siły robocze.* Jest bowiem zrozumiałem, że znajdujące się obficie w kraju, a przeto tanie, czynniki produkcji powinny być więcej wyzyskane, niż rzadkie i drogie.

Dlatego Europa przewyższa Amerykę w fabrykacji artykułów specjalnych, wymagających głównie pracy ręcznej i osobistej staranności. Naturalnie fabrykacja masowa również i w Europie jest w pewnych wypadkach ze skutkiem stosowana, a naodwrót i w Ameryce produkuje się specjalności.

Naogół jednak Ameryka koncentruje się na produkcji masowej, oszczędzającej pracę, a Europa, na produkcji bardziej specjalnej, wymagającej większego nakładu ludzkiej pracy i staranności.

Czy byłoby celowem, gdyby bez względu na tak zupełnie odmienne warunki gospodarcze, czyniono próby przeniesienia amerykańskich metod do Europy i zaczęto w Europie stosować wysokie płace i masową produkcję? Z pewnością, oświadcza Anderson, byłoby to dla każdego kraju Europy w obecnych warunkach nieszczęściem narodowem; płace bowiem muszą ostatecznie zawsze być wydobyte z produkcji. *Koszty produkcji są w Europie wskutek drogich surowców i kredytów tak wysokie, że jeżeli do tego doszłyby jeszcze amerykańskie płace, wszelka zdolność konkurencyjna byłaby wykluczona.* Oprócz tego ogólnie przeprowadzona maszynowa produkcja masowa zwolniłaby w Europie miljony sił roboczych, co przy przeludnieniu Europy byłoby wprost katastrofą. Wkońcu produkcja masowa według wzorów amerykańskich, gdyby tylko w przybliżeniu osiągnięta została, *nie znalazłaby w Europie żadnego zbytu.* Stany Zjednoczone posiadają ogromne obszary zbytu o kilkuset miljonach ludzi, nieprzerwane żadnemi barjerami celnemi. Ludność tych obszarów żyje w przeważającej większości w średnich stosunkach, w pewnym skromnym dobrobycie, i stanowi w ten sposób dobrych odbiorców dla produkcji masowej Europa natomiast podzielona jest na wielką ilość małych państw, które wszystkie otaczają się barjerami celnemi i które nie dawałyby, zwłaszcza wobec wielkich różnic stosunków dochodowych, żadnej możliwości wchłonięcia takiej produkcji.

Żaden kraj nie może wykroczyć bez ciężkich szkód poza zasadnicze warunki swego własnego gospodarstwa. Europie, zarówno jak Ameryce, przepisane są sposoby produkcji i pracy przez ich własne warunki. Europie brak naturalnych surowców i przynajmniej obecnie, bogactwa kapitału Ameryki. Rekompensatę tego upośledzenia znajduje w bogactwie ludzi, które musi jej dać tańszą siłę roboczą. Gdyby przez sztuczne podwyższenie płac zaprzepaściła tę korzyść, to temsamem ofiarowałaby ostatnią możliwość swej zdolności konkurencyjnej, a także ostatnią możliwość wystarczającego zatrudnienia swej wielkiej ilości ludzi.

Taki sąd wydaje amerykański ekonomista, którego jasne i przekonywujące wywody, aczkolwiek odnoszą się ogólnikowo do stosunków europejskich, mają szczególne znaczenie właśnie dla tych państw, które wśród krajów przemysłowych Europy stosunkowo najbardziej ubogie są w kapitały. Dla narodu ubogiego w kapitał, niema innej drogi dla poprawy sytuacji swej ludności, jak powiększenie swoich podstaw produkcyjnych, tj. intensyfikacja swego gospodarstwa na tej podstawie, która tkwi w naturalnych warunkach.

M. S.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Pogłoski, ne dementowane przez rząd grecki, o *obniżeniu stawki procentowej* pożyczki państwowej (t. zw. uchodźczej) z 8% na 6%, wywołały na giełdzie w Atenach panikę. Oświadczenie Venizelosa głosi, że 8% stawka w chwili emisji pożyczki była wprawdzie usprawiedliwiona, że jednak po stabilizacji drachmy zniżka jest na miejscu. Prasa określa postępowanie to, jako błąd, który musi niekorzystnie wpłynąć na zaufanie zagranicy do Grecji.

* * *

Wielki *program budowlany rządu francuskiego* (le Loucheur), przy urzeczywistnieniu którego prawdopodobnie niemieckie świadczenia reparacyjne będą odgrywały wielką rolę, spowodował założenie mieszanego związku architektów i przedsiębiorców budowlanych, do którego należą najwybitniejsze osobistości z francuskich sfer budowlanych. Celem tej „Union Professionelle du Bâtiment de France" jest głównie wykluczenie przy realizacji programu budowlanego tych nadużyć ciemnych machinacyj i skandalów, które dotychczas charakteryzowały akcje odbudowy zniszczonych terytorjów Francji.

* * *

Według wiadomości z Paryża, senator Louis Michel zawiadomił ministra skarbu, że natychmiast po zebraniu się Izby wniesie interpelację co do wielkich nadużyć, do których doprowadził system akcyj o wielokrotnem prawie głosowania. Do tego zauważa czasopismo „Le Capital", że postanowienie oficjalnego zajęcia się kategorją akcyj o wielokrotnem prawie głosowania wywołało widoczne zadowolenie. Akcje te, które pierwotnie miały chronić przemysł francuski przed wpływami zagranicznych akcjonarjuszy, stały się obecnie środkiem władzy w rękach grup, należących do Zarządu, które z pominięciem praw, przysługujących starym akcjonarjuszom, zapewniły sobie kontrolę nad spółkami akcyjnemi.

* * *

W zakładach macierzystych Sp. Akc. I. P. Bemberg (fabr. sztucznego jedwabiu) w Barmen, która już od dłuższego czasu zmuszona jest do znacznego ograniczenia ruchu *z powodu braku wody*, należy się liczyć w miesiącu październiku z możliwością dalszego zmniejszenia już dotychczas na jedną trzecią ograniczonej produkcji, o ile chwilowa posucha miałaby potrwać przez dłuższy czas.

* * *

Rząd angielski zamierza przeprowadzić pewne środki zaradcze dla *złagodzenia bezrobocia.* Według „Daily Telegraphu" chodzi przedewszystkiem o rozszerzenie ustawy o osiedleniu przez dodanie postanowień o osiedleniu 20.000 angielskich rodzin w Kanadzie. Dla przeprowadzki bezrobotnych z dystryktów węglowych najbardziej dotkniętych kryzysem węglowym, rząd zamierza oddać do dyspozycji 600.000 funt. szterl. rocznie. Znaczną część bezrobotnych rząd spodziewa się zatrudnić przy rozszerzonej pracy około zalesienia Anglji. Chodzi przedewszystkiem o zalesienie około 1.75 milj. akrów, na co rząd chce w ciągu następnych 10 lat wyasygnować 5,5 milj. funt. szterl.

* * *

W 1928 r. niemiecki przemysł samochodowy doznał niezwykle silnego rozwoju. — Jak donosi oficjalna korespondencja związku niemieckiego przemysłu samochodowego, produkcja wozów osobowych wzrosła o 36%, a zbyt o 39%. W sierpniu b. r. zbyt wozów 8-io cylindrowych był o 70%, a mniejszych o 45% wyższym, niż w przecięciu 1927 r. — Ogólny obrót przemysłu samochodów ciężarowych powiększył się o ok. 45%. Wprost znakomitego rozwoju doznał przemysł motocyklowy głównie z tej przyczyny, że z dniem 1 kwietnia granica dla motocykli wolnych od podatku podniesiona została do 200 centymetrów sześciennych pojemności cylindra. Niektóre fabryki nie były w stanie zaspokoić popytu mimo znacznego powiększenia zakładów.

Spółki akcyjne w roku 1927

Ruch założycielski spółek akcyjnych wzmógł się znacznie w 1927 r. w związku z zarysowującą się coraz wyraźniej poprawą sytuacji gospodarczej oraz z postępującym rozwojem produkcji. Po niezwykle ożywionej działalności założycielskiej w pierwszych latach istnienia odrodzonego państwa polskiego, zwłaszcza zaś w latach inflacji, w 1924 r. obserwujemy już spadek tej działalności, w 1925 r. pod wpływem kryzysu ruch założycielski gwałtownie się kurczy, pozostaje następnie na tym niskim poziomie w 1926 r. i dopiero w 1927 r. zaczyna odradzać się, zbliżając się do stanu normalnego dla gospodarstwa polskiego. Te wahania w ruchu założycielskim spółek akcyjnych ilustrują następujące liczby:

	Spółki nowozałożone: liczba	kapitał tys. zł.
1924 r.	211	37.822
1925 r.	22	30.711
1926 r.	25	20.852
1927 r.	40	43.110

Należy zaznaczyć, że suma kapitału z 1924 r. jest nieścisła i mniejsza od rzeczywistej wartości kapitału spółek, założonych w 1924 r., gdyż kapitał znacznej liczby tych spółek był oznaczony jeszcze w markach polskich.

Liczba upadłości ogłoszonych spółkom akcyjnym znacznie zmniejszyła się w 1927 r. w porównaniu do lat poprzednich. Ilustruje to następujące zestawienie:

	Upadłości ogłoszone: 1925	1926	1927
Spółki akcyjne	50	41	22
przemysłowe	28	21	14
handlowe	17	12	4
kredytowe	5	8	4

Szczególnie silny spadek liczby wypadków ogłoszenia upadłości widzimy w grupie spółek akcyjnych handlowych.

Akcja likwidacyjna spółek akcyjnych, która rozpoczęła się po stabilizacji waluty, a szczególnie od chwili zaostrzenia się kryzysu w 1925 r., a która dotknęła przedewszystkiem sztuczne twory czasów inflacji — trwała i w 1927 r. W roku tym zlikwidowano 109 spółek, a mianowicie 37 w grupie handlu pieniężnego, 26 w grupie handlu towarowego, 8 w przemyśle włókienniczym, 5 w przemyśle maszynowo - elektrotechnicznym i t. d.

Ogólna liczba spółek akcyjnych zmniejszyła się w 1927 r. z 1.761 do 1.692 (na początku 1925 r. — 1.904, na początku 1926 r. — 1.842). Jednakowoż liczba spółek z przewalutowanym kapitałem akcyjnym, co do których Gł. Urząd Statystyczny zebrał szczegółowe dane, nie uległa w 1927 r. zmianie i wynosiła 1.376, gdyż z ogólnej liczby zlikwidowanych 109 spółek na spółki z przewalutowanym kapitałem przypadło — jak podaliśmy wyżej — 40, t. j. tyleż, ile wyniosła liczba nowozałożonych spółek.

Z pośród poszczególnych grup spółek akcyjnych największy kapitał, bo 18,1 proc. ogólnego kapitału spółek, posiada górnictwo; drugie miejsce zajmuje przemysł włókienniczy (15,0 proc.), dalej idzie: hutnictwo (12,9 proc.), przemysł spożywczy (10,8 proc.), banki (9,0 proc.), przemysł chemiczny (5,0 proc.), grupa komunikacyjna (4,7 proc.). Pozostałe grupy reprezentują już kapitał zakładowy mniejszy od Zł. 100 tys., nie przekraczający 4 proc. ogólnego kapitału akcyjnego.

Największa część ogólnego kapitału akcyjnego przypada na przemysł przetwórczy — 43,7 proc.; na górnictwo, hutnictwo i przemysł mineralny przypada 33,1 proc., na banki 9,0 proc., na komunikację 4,7 proc., na przedsiębiorstwa użyteczności publicznej 3,8 proc., na handel 2,6 proc.

Kapitał ogólny wszystkich spółek akcyjnych reprezentuje pokaźną kwotę Zł. 2.166 milj., która faktycznie powinna być jeszcze większa, gdyż kapitały znacznej części spółek zostały ustalone drogą przerachowania bilansów na złote w złocie.

ZBIORY TEGOROCZNE
dane prowizoryczne

Trwała pogoda, która zapanowała w lipcu na całym prawie terenie Polski, poprawiła ogromnie stan zbóż, zwłaszcza jarych, a ziarno zyskało na wadze i jakości. Żniwa naogół odbyły się z dużem opóźnieniem, przy trwałej słonecznej pogodzie, tylko w niektórych miejscowościach przelotne deszcze utrudniały zbiór.

Na podstawie sprawozdań korespondentów rolnych, Główny Urząd Statystyczny dokonał szacowania przypuszczalnego zbioru 4-ch zbóż, które przedstawia się następująco:

Pszenica	14,6	99	111
Żyto	59,0	104	110
Jęczmień	19,0	117	123
Owies	36,5	108	116

Prowizoryczne dane powyższe mogą ulec jeszcze nawet większej zmianie, gdyż ostateczne dokładne obliczenia zbiorów zostaną dokonane dopiero w czasie młocki w pełnym biegu.

KOLEJE PAŃSTWOWE NA POWSZECHNEJ WYSTAWIE KRAJOWEJ W 1929 R.

Ministerstwo Komunikacji przygotowuje się już od dłuższego czasu do należytego przedstawienia na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu wysiłku, dokonanego przez P. K. P. w okresie dziesięcioletniej pracy nad rozbudową kolejnictwa polskiego. W Ministerstwie utworzono specjalny Komitet do spraw z Wystawą związanych, a w Poznaniu powołano Komisję Wykonawczą pod przewodnictwem prezesa Dyrekcji, inż. Rucińskiego. Dla pomieszczenia okazów P. K. P. zbudowany będzie obszerny pawilon. Na budowę tę ogłoszono konkurs, w wyniku którego przyjęto do wykonania projekt pawilonu arch. J. Padlewskiego.

Na koszty, związane z Wystawą, włączono do budżetu Ministerstwa Komunikacji kwotę około Z 2 miljn., z których Z 820 tys. przypada na koszt budowy pawilonu, jego urządzenie wewnętrzne, oraz sporządzenie i przewiezienie modeli, fotografii. okazów i t. p., Z 630 tys. stanowić będą wydatki, związane z przystosowaniem stacji kolejowej w Poznaniu do wzmożonego ruchu, wreszcie od Z 500 do 600 tys. przypadnie na opłatę czynszu dzierżawnego za plac Wystawy oraz na utrzymanie i ochronę pawilonu i okazów.

W pawilonie mieścić się będzie sala kinematograficzna, wyświetlająca film, p. t. „Szlakiem Polskich Kolei Państwowych dookoła Polski", za pawilonem będą ułożone tory dla ustawienia kilkunastu parowozów i wagonów polskich wytwórni.

UWAGI

Rocznica listopadowa

Wkrótce, bo zaledwie tylko sześć tygodni dzieli nas od dnia 11 listopada, przypada dziesięciolecie istnienia niepodległej Polski. Aczkolwiek 11 listopada jest rocznicą dnia, w którym, po stuletniej zgórą niewoli, odzyskaliśmy wolność i niepodległość, a więc rocznicą tego momentu, którego całe pokolenia oczekiwały z tęsknotą, znosząc prześladowania i przelewając morze krwi, to jednak nie zdobyliśmy się dotąd na otoczenia należytym nimbem tego pamiętnego dnia. Dotychczas uroczyście dzień ten obchodziło tylko wojsko i częściowo młodzież szkolna, przyczem cała uroczystość w szkołach sprowadzała się do stereotypowych pogadanek i zwolenienia od zajęć. Tak świętowano rocznicę 11-go listopada w całej Polsce, a tylko bardzo nieliczne miejscowości obchodziły chwilę tę bardziej uroczyście, organizując pochody i akademje. Czyż te nasze defilady wojska i pochody straży ogniowych, a rzadziej już innych stowarzyszeń, można porównać z temi uroczystościami, jakie przypadają w dniu świąt narodowych w innych krajach? — A przecież dzień 11-go listopada, dzień, w którym wrogi okupant w bezładnej i sromotnej ucieczce opuścił stolicę i znaczną część kraju, dzień, w którym odzyskaliśmy prawdziwą wolność, dzień, w którym poraz pierwszy od tylu dziesiątków lat poczuliśmy się znowu synami niepodległego Państwa i obywatelami odpowiedzialnymi za jego świetność i całość, dzień ten chyba zasługuje na to, by uczcić go mianem święta narodowego i z właściwą świętom narodowym okazałością i radością obchodzić.

A więc nowe święto? Mamy już 3-go Maja, mamy 15-go Sierpnia, będziemy mieć jeszcze 11-go listopada. Czy czasem nie zadużo tych świąt narodowych? Od wieków przyjęto, że państwa uroczyście obchodzą rocznice momentów najbardziej doniosłych w historji ich istnienia, a czyż rocznica 11-go listopada, rocznica odrodzenia Niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej, nie jest rocznicą chwili najdonioślejszej z pośród najbardziej doniosłych? Zresztą większa ilość świąt narodowych nie świadczy źle o państwie, wprost przeciwnie — widać, że państwo miało więcej w swej historji, tak bardzo podniosłych momentów, iż pamięć o nich przechowuje żywo i uroczyście.

A gdyby i przyszło zastanowić się, które z pośród wyżej wymienionych rocznic uczcić mianem świąt narodowych, to niewątpliwie, że po dłuższym namyśle i wszechstronnem rozważeniu wszystkich „za“ i „przeciw“, raczej rocznica listopadowa zyskałaby to miano. Trzeba tu z całym naciskiem podkreślić, że ustanowienie nowego święta narodowego bynajmniej nie musi się łączyć z wykreśleniem z naszego kalendarza, niedawno oczyszczonego z nadmiaru świąt, nowego dnia pracy. Uroczysty obchód rocznicy zawsze przenieść można na najbliższą niedzielę, co pozwoli nawet gremialniej i bardziej okazale uczcić ten pamiętny dzień. Obchód rocznicy listopadowej w roku bieżącym winien wypaść szczególnie okazale ze względu na przypadające jednocześnie 10-lecie istnienia odrodzonej Polski. Jest projekt uczczenia tego 10-lecia wystawieniem pomnika, który wzorem posągu „Wolności“ w nowojorskim porcie, ma stanąć na straży wejścia do naszego portu w Gdyni. Ale prócz tego pomnika, na którego wystawienie winni złożyć wszyscy choćby groszowy datek, winna jeszcze i każda gmina miejska i wiejska w swym obrębie uczcić pom nikiem rocznicę odzyskania niepodległości. Mówiąc tu o pomnikach, zaznaczam, nie mam na myśli pomników w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, a więc nie rzucam projektu wystawiania w każdem mieście i wiosce, jakiegoś posągu, czy też obeliska, byłoby to bowiem niewskazane conajmniej ze względów ekonomicznych, zbyt biedni jesteśmy, by pozwolić sobie na tego rodzaju luksus, jak i kulturalnych, gdyż zbudowanoby przy tak masowem zapotrzebowaniu, zbyt wiele tandety. Natomiast każda, nawet najuboższa jednostka samorządowa winna bądź samodzielnie, bądź zbiorowemi siłami, w upamiętnieniu rocznicy odzyskania wolności, założyć kamień węgielny pod budowę bądź to szkoły, bądź domu ludowego, bibljoteki, muzeum, bądź też boiska, parku lub plantacyj i t. p., przyczem przy wyborze należałoby kierować się miejscowemi potrzebami i warunkami, bacząc, by budowla, godnie odpowiadała tej chwili, jaką ma upamiętnić.

Pomnikami tego rodzaju wystawilibyśmy sobie świadectwo potrjotyzmu i idei kulturalnych, jakie kierowały nami przy odbudowie naszego Państwa.

Janusz Latosiński.

Dziesięć lat temu

W ostatnich dniach września 1918 r., dobę przed załamaniem się frontu macedońskiego i kapitulacją państw centralnych na Bałkanie, co — jak wiadomo — było początkiem końca wojny światowej, odbywała się w Witoni pod Łęczycą jakaś uroczystość kościelna, którą obecnością swą zaszczycił ówczesny arcybiskup Kakowski, metropolita warszawski i członek Rady Regencyjnej.

Obecny na tej uroczystości inż. Stanisław Kłobski wygłosił przemówienie powitalne, które poniżej dosłownie przytaczamy, jako klasyczny przykład mowy politycznej, ubranej w formę biblijną celem zabezpieczenia jej przed cenzurą.

Nawiasy objaśniające pochodzą od nas.

„Najdostojniejszy Arcypasterzu!

Dwa dziesiątki lat mija, gdy prastara świątynia ostatni raz gościła w swych murach Najwyższego w kraju Arcykapłana, a Twego, Najdostojniejszy Arcypasterzu na tronie arcybiskupim poprzednika — ś. p. Wincentego Chościak-Popiela. Niech spoczywa w spokoju, a duch Jego niech raduje się tu z nami, że oto Jego następca przybywa do nas w momencie, gdy, zda się, dzień każdy zbliża chwilę Sądu Bożego na ziemi, a godzinę sprawiedliwości dla udręczonego naszego narodu; gdy, zda się, dzień każdy zbliża dla naszego, przemocą rozdartego narodu spełnienie słów, wszystkiemu ludowi w Piśmie Świętym obiecanych, a dla naszego narodu szczególne mających znaczenie: „A będzie jedno stado i jeden pasterz“.

I, witając Cię, Najdostojniejszy Arcypasterzu, i Was, Przewielebne Duchowieństwo, w imieniu zebranych tu rodaków, wiernych kościoła naszego, witać Was będą słowami Bożemi, jakie są w księgach świętych objawione i w sercach naszych wiernie przechowywane: „A będzie jedno stado i jeden pasterz“.

A zanosimy do Najwyższego błagania, by pasterz ten był jako pasterz Chrystusowy, co więcej radował się z tej zagubionej, a odnalezionej owieczki (Poznańskie — przyp. red.), *niźli z całego stada, bo nie Chrystusowym, ale pogańskim byłby taki pasterz - ojciec rodziny, co z własnej woli jedno swe dziecię* (aluzja do zrzekania się Poznańskiego przez Radę Regencyjną — przyp. red.) *ofiarowałby złemu, by oszczędzić udręczeń pozostałym.*

I zanosimy do Najwyższego błagania, by tym wielkim budowniczym (Radzie Regencyjnej — przyp. red.), *którym powierzona budowa Domu dla tego stada, przyświecały słowa Chrystusa do św. Piotra zwrócone: „Tyś jest opoką, a na tej opoce zbuduję kościół, który będzie trwał po wszystkie wieki“. — Bo przerażony ogromem i trudnościami tej budowy, szatan za pokłon obiecuje swą pomoc i zasłaniając rodzimą opokę* (zabór pruski — przyp. red.), *wskazuje dalekie bagna* (kresy ruskie—przyp. red.), *więc pomni słów Chrystusa — niechaj złemu ci budowniczowie rzekną: „Idź precz, szatanie“. Bo to czytamy u Mateusza w rozdziale IV-tym, że szatan wziął Chrystusa Pana na górę bardzo wysoką, pokazał mu wszystkie królestwa świata i chwałę ich i rzekł Mu: „To wszystko dam Tobie, jeśli upadłszy, uczynisz mi pokłon“. Tedy rzekł mu Jezus: „Idź precz szatanie, albowiem napisano jest: Panu Bogu Twemu kłaniać się będziesz, a Jemu samemu służyć będziesz“.*

Przyjm za prawdę, Najdostojniejszy Arcypasterzu, zapewnienie, że niemasz tu między nami takich, których do uczynienia pokłonu skusiłby szatan, choćby dla niepoznaki przystrojon był koroną (aluzja do pokłonów Rady Regencyjnej przed tronem Wilhelma w Berlinie — przyp. red.), *gdyż każdy z nas odda pokłon tylko Bogu Wielkiemu na niebie, całując zarazem świętą ziemię ojczystą, naszą karmicielkę, prochów ojców naszych wieczne odpocznienie. I choć z dopuszczenia Bożego nie jesteśmy tej ziemi władnymi włodarzami i jej plonów wolnymi szafarzami, lecz przetrwamy, albowiem pozostaje nam wolna dusza, nad którą sobie Chrystus władzę pozostawił, po ziemską nigdy nie sięgając, bo przed swem umęczeniem ku wiecznemu upomnieniu apostołów i ich na ziemi następców — rzekł: „Królestwo moje nie z tego świata jest“.*

Więc cześć Ci, Arcypasterzu, nasz ojcze duchowny, żeś duszom naszym w imieniu Chrystusa przyszedł tu nieść pokrzepienie i umocnij nas w miłości bliźniego, byśmy na pośmiewisko wroga naszego śmiertelnego, a z poduszczenia jego i tych jego sług, co do podniesienia swej władzy maluczkiej raj na ziemi obiecują, nie zapomnieli o 10-tem przykazaniu i własnemi rękoma nie niszczyli tego, czego wróg zniszczyć nie był w stanie.

W ostatnich mych słowach do Ciebie, Najdostojniejszy Arcypasterzu, powitania, Panu Bogu niech będzie chwała, wszystkim Świętym na niebie chwała, Ojcu Świętemu Benedyktowi IV cześć, a Tobie Najdostojniejszy Arcypasterzu i Wam przewielebne Duchowieństwo od nas, tutaj zebranych serdeczne dzięki, żeście nas nawiedzili“.

Artystyczna spółka z ogr. odpowiedzialnością

Nowy problem dla fiskalistów.

W tych dniach zgłoszona została do rejestru handlowego w Berlinie jedyna w swoim rodzaju spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Mianowicie para aktorska, będąca małżeństwem, założyła spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, która według umowy rejentalnej ma na celu **eksploatację artystycznych zdolności aktora X i jego żony aktorki Y.**

Trzeba przyznać, że jest w tem objaw niebylejakiego postępu. **Talent aktorski potraktowany został według wszelkich reguł nowoczesnego handlu jako towar i dla należytego spieniężenia go stworzona została najbardziej nowoczesna organizacja handlowa.** Spółka posiadać będzie oczywiście swoje wydziały. Wydział propagandy prowadzić będzie kampanję reklamową i stwarzać popyt, wydział dyspozycyjny regulować będzie kolejność zamówień i czuwać nad terminowem wykonaniem dostawy, buchalterja czuwać będzie ze swej strony nad terminowym wpływem należytości. Spółka komunikować się będzie prawdopodobnie z firmami tej samej branży celem zawierania w razie potrzeby umów lub tworzenia karteli dla zapobieżenia niepożądanej konkurencji i zniżce cen.

Ciekawem jest, jak zachowa się wobec tego wszystkiego władza podatkowa. Przypuszczać należy, że pogodzi się z tem i uzna, że postępowi nie wolno przeszkadzać. A władza podatkowa jest tutaj wysoce zainteresowana. W Niemczech — podobnie jak zresztą i u nas — podatek dochodowy jest w ten sposób skonstruowany, że osoby fizyczne płacą po przekroczeniu pewnej granicy dochodu **50 procent** tego dochodu tytułem podatku, podczas gdy osoby prawne płacą najwyżej **20 procent** od osiągniętego dochodu. Gdyby w tym wypadku spółka corocznie całkowity osiągnięty dochód wypłacała na rękę udziałowcom, płaciliby oni jeszcze większy podatek niż bez spółki, ponieważ raz opodatkowany byłby dochód spółki, a po drugi raz dochód indywidualny udziałowców, ale tak zapewne nie będzie. Udziałowcy pobierać będą ze spółki **tylko tyle, ile będą potrzebowali na opędzenie swoich osobistych wydatków,** resztę zaś pozostawiać będą w spółce jako kapitał rezerwowy. W takim razie płacić będą od swego osobistego dochodu wprawdzie o 10 procent więcej podatku niżby płacili bez spółki, ale zato **o 30 procent mniej płacić będą od kapitałów oszczędzanych,** pomijając już to, że w ramach spółki najzupełniej legalnie będą mieli poważne sumy do dyspozycji bez żadnego podatku, ponieważ zaliczać je będzie można na koszta handlowe, koszta podróży, djety itp. Z punktu widzenia fiskalnego będą musieli być traktowani jako narzędzia produkcji, **jako maszyny, produkujące talent sceniczny,** który spółka sprzedaje, a ustawodawstwo podatkowe przewiduje możność potrącenia od dochodu odpowiednich sum na amortyzację i utrzymanie maszyn w stanie zdolnym do pracy. Np. kilkumiesięczny pobyt na Riwierze, lub w jakiemś uzdrowisku będzie mógł być spokojnie zaliczony do kosztów produkcji i wyeliminowany z sumy, podlegającej opodatkowaniu.

Mamy tu do czynienia z niezwykle oryginalnym pomysłem, **nie noszącym ani śladu nielegalności** i najzupełniej zgodnym z nowoczesnemi zasadami i poglądami gospodarczemi. Mamy przed sobą próbę równouprawnienia dochodu osób fizycznych z dochodem osób prawnych i usunięcia oczywistego nonsensu fiskalnego, który na oszczędności osoby fizycznej nakłada bezporównania większe ciężary podatkowe, niż na oszczędności osób prawnych.

Należy się przeto spodziewać, że przykład berlińskiej pary małżeńskiej znajdzie bardzo szybko licznych naśladowców, że zwłaszcza po królewsku opłacani artyści filmowi, sławni śpiewacy, malarze, literaci itp. bez wahania uznają talent swój jako towar i starać się będą o spieniężenie go przy pomocy nowoczesnych metod gospodarczych. Będzie to pewnego rodzaju samopomoc przeciw oczywistej niesprawiedliwości w ustawodawstwie fiskalnem niemal wszystkich krajów. W każdej niemal konstytucji czytać można, że wszyscy obywatele równi są wobec prawa — a tymczasem **wobec prawa o podatku dochodowym kupiec i przemysłowiec jest traktowany inaczej, niż zwykły śmiertelnik, nie będący firmą.**

Wagner powiedział kiedyś: *„Ich hab es öfters rühmen hören, ein Komödiant könnt' einen Pfarrer lehren.“* I słusznie powiedział. W danym wypadku „komedjant“ mógłby nauczyć nietylko księdza!

B. Z.

Prenumerata

za III kwartał nie została jeszcze przez wszystkich prenumeratorów uiszczona. Prosimy o możliwie szybkie wpłacanie jej oraz ewent. zaległości. Przekazy P.K.O. zostały już rozesłane.

Stary tokaj

W niemieckim tygodniku „Die Weltbühne“ znajdujemy feljeton o winiarni Fukiera w Warszawie.

Tokaj jest dla arystokracji polskiej tem samem, co portwein dla angielskiego *higlife'u.* Szlachetny trunek — trunek dla szlachty przynosi szlachectwo i tym, którzy, handlując nim, z tego czerpią swoje utrzymanie.

Na Starym Rynku warszawskim stoi mała kamienica. Wieki nie tknęły jej i dziś jeszcze stoi w całej swej średniowiecznej okazałości. Patrycjuszowski dom z szesnastego stulecia. Nad bramą wisi szyld firmowy: „Winiarnia Fukiera“. Skromne to nazwisko należy do starego niemieckiego rodu. Dom ten należał ongiś do Fuggera. W szesnastym wieku jeden z potomków tego potężnego augsburskiego rodu kupieckiego przywędrował do Warszawy, nabył tam dom i zaczął handlować. Królewskim kupcem był Fugger i królewskim trunkiem handlował.

Z niemieckiego Fuggera stał się w Polsce polskim Fukierem, ale tokaj, którym handlował był zawsze złocisty i prawdziwy. Kilkaset lat kwitnęła mała knajpa. W chłodnych izbach szukali wytchnienia po burzliwych debatach sejmowych Radziwiłłowie, Potoccy, Sapiehowie — i jak oni się tam wszyscy nazywają. A później niejednego rubla rosyjskiego, toczącego się przez Polskę tutaj zamieniano na wino i miód. Waśnie rodowe tu się zaczynały i tu się często kończyły. A nad tem wszystkiem unosił się zapach ciężkiego węgierskiego wina — napełniał izby i piwnice. Fukierom dobrze się przy tem powodziło. Z ciężkich beczek w piwnicy płynęło wino do gardzieli szlacheckich i powracało w postaci ciężkich dukatów do skrzyń Fukierowskich. Tak było przez kilka stuleci.

Polska została podzielona, straciła niepodległość. Pokój i wojna następowały po sobie. Ale sława domu Fukierów przetrwała wszystko.

Nowe czasy nadeszły. Ulicami Warszawy maszerują żołnierze Piłsudskiego — w stalowych hełmach i z nowoczesnemi karabinami. Przez Stary Rynek śmigają samochody. Waśnie rodowe rozstrzyga się już nie z bronią w ręku, lecz przed kratkami sądów. W pałacu ongiś gnieźnieńskiego arcybiskupa stukają maszyny do pisania Ministerstwa Rolnictwa. Maluje się pięknie domy na Starym Rynku i dom Fukierów będzie także ładnie pomalowany. Państwo polskie pragnie ożywić ruiny. Napróżno. Czasy dzisiejsze nie znają wysiadywania przy stole w knajpie. W piwnicach Fukierowskich jest pusto. Od czasu do czasu zbłądzi tu jakiś obcy, który z historycznej ciekawości zwiedza budynek i ogląda izby winiarni. Zostaje na chwilę, oczarowany nastrojem i zachwycony winem. Ale tacy przygodni klienci nie potrafią podtrzymać upadku firmy. Ostatni Fukier, ostatni potomek potężnej ongiś rodziny, obcym jest w swoim własnym domu. Winiarnia Fukiera zbankrutowała...

T-wo Akc. Wyrobów Tkackich
Hirszberg i Birnbaum w Łodzi

BILANS
na dzień 31 grudnia 1927 roku.

Stan czynny.

	Złote i gr.	
Nieruchomości, maszyny i urządzenia	1,189,672.06	
Towary, przędza i materjały	1,680,625.65	
Kasa, weksle i banki	279,798,13	
Dłużnicy	483,355.23	
Papiery procentowe	17,404,30	
Protesty (wykupione w 1928 r.)	3,019.80	3,653,875.17
		3,653,875.17

Stan bierny.

Kapitał zakładowy		1,500,000.00
„ zapasowy	45,000.00	
„ amortyzacyjny	565,782.83	
„ rezerwowy specjalny	147,004.25	757,787.08
Wierzyciele		1,310,114.79
Zysk 1927 r.		85,973.30
		3,653,875.17

Rachunek zysków i strat.

Przychód ogólny		6,487,000.76
Rozchód ogólny	6,222,691.16	
Amortyzacja	178,336 30	
Zysk do podziału	85.973.30	6,487,000.76

Wydział Rejestru Handlowego
Sądu Okręgowego w Łodzi

Do rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 13729/A. **„Chil - Majer Wajntraub".** Drobna sprzedaż farb i żelaza. Firma istnieje od 1913 roku, Łódź, Kilińskiego 151. Właściciel Chil - Majer Wajntraub, Łódź, Kilińskiego 151. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13730/A. **„Herszko - Majer Herszkopf".** — Mleczarnia i sprzedaż nabiału. Firma istnieje od 1923 roku, Łódź, ul. Zawadzka 46. Właściciel Herszko-Majer Herzkopf. Łódź, Zawadzka 46. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13731/A. **„Stefanja Łukomska".** — Zakład rzeźniczy. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, ulica Zamenhofa 10. Właścicielka Stefanja Łukomska, Łódź, Zamenhofa 10. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13732/A. **„Ajzyk Gonzwa".** — Drobna sprzedaż mięsa, Łódź, Piotrkowska 41. Firma istnieje od 1896 roku. Właściciel Ajzyk Gonzwa, Łódź, Piotrkowska 41. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13733/A. **„Mojżesz Altman".** Drobna sprzedaż nabiału i artykułów spożywczych. Firma istnieje od 1924 roku, Łódź, Cegielniana 42. Właściciel Mojżesz Altman — Łódź, Cegielniana 32. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13734/A. **„Wacław Niewinowski".** — Sprzedaż towarów bawełnianych i drobnej galanterji. Firma istnieje od 19 listopada 1927 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 175. Właściciel — Wacław Niewinowski, Łódź, ul. Piotrkowska 273. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13736/A. **„Reinhold Müller".** — Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1923 r., Łódź, Gdańska 148. Właściciel Reinhold Müller, Łódź, ul. Kilińskiego 140. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13737/A. **„Chaim Turobiner".** — Sprzedaż czapek i kapeluszy. Firma istnieje od 1 lutego 1927 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 82. Właściciel Chaim Turobiner, Łódź, ul. Nowo - Cegielniana 48. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13738/A. **„Chil Binke".** — Sprzedaż owoców słodyczy i wody sodowej. Firma istnieje od 1884 roku. Łódź, ul. Cegielniana 18. Właściciel Chil Binke, Łódź, ul. Zachodnia 72. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13739/A. **„Genowefa Drabińska".** Łódź, Zakątna 25. Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1920 r. Właścicielka Genowefa Drabińska, Łódź, ul. Zakątna Nr. 25. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13740/A. **„Małka Gertler".** Drobna sprzedaż artykułów spożywczych. Firma istnieje od 1918 r. Aleje 1-go Maja 16. Właścicielka Małka Gertler, Łódź, ul. Aleje 1-go Maja 16. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13741/A. **„Majer Baumgarten".** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1926 r., Łódź, ul. Żeromskiego 33. Właściciel Majer Baumgarten, Łódź, ulica Żeromskiego 33. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13742/A. **„Jan Fesser".** — Komisowa sprzedaż pism, Łódź, Piotrkowska 17. Firma istnieje od 1 maja 1925 r. Właściciel Jan Fesser, Łódź, ul. Wegnera 3. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13743/A. **„Bronisław Brzozowski".** — Zakład krawiecki. Firma istnieje od 1 lipca 1928 r. Łódź, ul. Żeromskiego 99. Właściciel Bronisław Brzozowski, Łódź, Żeromskiego 99. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13744/A. **„Szlama Pokrzywa".** — Drobna sprzedaż mięsa i drobiu. Firma istnieje od 1908 roku, Łódź, ul. Karola 8. Właściciel Szlama Pokrzywa, Łódź ul. Karola 8. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13745/A. **„Hersz Herman"** — Sprzedaż pończoch, rękawiczek i galanterji. Firma istnieje od r. 1925, Łódź, Piotrkowska 99. Właściciel Hersz Herman, Łódź, Lipowa 31. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13746/A. **„Szlama Grundman".** Sklep kolonjalny. Firma istnieje od 1 lipca 1926 r., Łódź, ulica Cegielniana 23. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13747/A. **„Lajbuś Aleksander".** — Sprzedaż szyb okiennych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, Zielona 1. Właściciel Lajbuś Aleksander, Łódź, Traugutta 14. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13748/A. **„Marjanna Ostrowska".** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1917 r., Łódź, ul. Karolewska 30. Właścicielka Marjanna Ostrowska, Łódź ul. Karolewska 30. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13749/A. **„Abram Einhorn".** — Piwiarnia. Firma istnieje od 1924 r., Łódź, ul. Cegielniaea 17. Właściciel Abram Einhorn, Łódź, ul. Cegielniana 17. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13750/A. **„Jan - Szczepan Pawlak".** — Drobna sprzedaż mięsa i wędlin. Firma istnieje od 1920 roku r., ul. Kopernika 44. Właściciel Jan-Szczean Pawlak, Łódź, ul. Kopernika 44. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13751/A. **„Teodora Gesslerowa".** Filja rzeźnicza, Łódź, ul. Zielona 15. Firma istnieje od 16 lutego 1927 roku. Właścicielka Teodora Gesslerowa, Łódź, ul. Zielona 15. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13752/A. **„Salo Mayer".** Wyrób firanek i kap. Firma istnieje od 1 sierpnia 1927 r., Łódź, Żeromskiego 68. Właściciel firmy Salo Mayer, Łódź, Cegielniana 71. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13753/A. **„Juljusz Adolf Proppe".** — Warsztat stolarski, Łódź, ul. Podleśna 31. Firma istnieje od 1911 r. Właściciel Juljusz-Adolf Proppe, Łódź, ul. Podleśna 31. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13754/A. **„Karol Wolf, właścicielka Aleksandra Wolf".** Sprzedaż zegarków i drobnej biżuterji Łódź, Piotrkowska 156. Firma istnieje od 1912 roku. Właścicielka Aleksandra Wolf, Łódź, ul. Piotrkowska 225. Intercyzy nie zawarł.

13755/A. **„Hersz Kaczmar i S-ka".** Wyrób i sprzedaż artykułów technicznych. Firma istnieje od 1918 r., Łódź, ul. Piotrkowska 42. Właścicielami są: Hersz Kaczmar, Łódź, ul. Narutowicza 75 i Salomon Kaczmar, Łódź, ul. Piotrkowska 93. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 31 czerwca 1931 roku z automatycznem trzyletniem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Weksli własnych firma nie wystawia. Żyra na wekslach, czeki, przekazy, indosy, pełnomocnictwa, upoważnienia sądowe, korespondencję, pokwitowania z odbioru rzeczy, pieniędzy, rzeczy wartościowych i pieniężnych, podpisuje każdy ze wspólników samodzielnie pod stemplem firmy. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13756/A. **„Zakłady Radjotechniczne „Audjofon" — właściciele Bolesław Miller i Albert Bartosz".** Fabrykacja i sprzedaż radjoaparatów i ich części składowych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku, Łódź, ul. Anny 29. Biuro sprzedaży — Łódź, Piotrkowska 128. Właściciele Bolesław Miller, Łódź, Anny 29 i Albert Bartosz, Łódź, ul. Rokicińska 21, Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Weksle i wszelkiego rodzaju zobowiązania w imieniu spółki i akty notarjalne podpisują wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy ze wspólników uprawniony jest do samodzielnego podpisywania korespondencji wszelkiego rodzaju dowodów, nie mających charakteru zobowiązań, rachunków, pokwitowań z odbioru pieniędzy, żyr na wekslach, przekazów i czeków, oraz odbierania korespondencji zwykłej i poleconej, listów pieniężnych i wartościowych, przesyłek, przekazów pieniężnych, towarów i ładunków, jak również udzielania pełnomocnictw adwokatom. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13757/A. **„Pierwsze Łódzkie Zakłady Ubezpieczeń Instalacji Elektrycznych i Pogotowie Elektryczne „Elektromagnes" — Lewin i Barbinel"** — Łódź, ul. Konstantynowska 58. Firma istnieje od 13 lipca 1928 r. Właściciele: Lewi - Jankiel Barbinel, Łódź, Kamienna 22 i Pinkus - Szulem Lewin — Łódź, ul. Konstantynowska 58. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny. Zarząd należy do wspólników. Weksle podpisują obaj wspólnicy. Intercyz nie zawarli.

Nr. 13759/A. **„Wolf Makower".** Wyrób wełniany i bawełniany. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, Karola 4. Właściciel Wolf Makower, Łódź, Karola 4. Intercyzy nie zawarł

Nr. 13760/A. **„Bursztyn i Frenkiel"** — Handel farbami. Firma istnieje od 17 lipca 1928 r., Łódź, ul. Cegielniana 28. Właściciel — Bajla-Dobra Frenkiel, Łódź, Zielony Rynek 7 i Bencjon Bursztyn, Łódź, ul. Andrzeja 38. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 31 grudnia 1928 r. z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Weksle, zobowiązania, żyra na wekslach, akta i umowy, czeki, przekazy, pełnomocnictwa i inne zobowiązania pieniężne podpisują wspólnicy łącznie. Natomiast każdy z nich uprawniony jest do prowadzenia spraw sądowych, podpisywania podań, otrzymywania wszelkiego rodzaju sum i należności, korespondencji zwykłej, poleconej i wartościowej, przekazów pocztowych i przesyłek, oraz kwitowania z odbioru takowych pod stemplem firmy. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w kancelarji Notarjusza Ryfińskiego w Łodzi 3 lipca 1922 r. za Nr. 5618, ustalona został a między Bursztynem i żoną jego Szejndlą wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13761/A. **„Wykończalnia Zacharjasz Zaromb i S-ka".** Prowadzenie wykończalni zarobkowej towarów włókienniczych. Firma istnieje od 1-go kwietnia 1928 r. Łódź, ul. Senatorska 27. Właściciele: Rudolf Müller, Helenówek Nr. 12, gm. Radogoszcz, Zacharjasz Zaromb, Łódź, ul. Piramowicza 9 i Alfred Müller, Łódź, ul. Senatorska 27. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 31 grudnia 1929 r., z automatycznem trzyletniem przedłużaniem. Zarząd należy do wszystkich wspólników. Weksle, pełnomocnictwa, prokury, umowy, kontrakty, akty notarjalne i hipoteczne, oraz wszelkiego rodzaju zobowiązania podpisują dwaj wspólnicy łącznie. Indosy (żyra na wekslach), oraz czeki w imieniu spółki podpisuje każdy z wspólników samodzielnie, jak również i każdy z nich oddzielnie uprawniony jest do odbierania wszelkich należności i sum pieniężnych, korespondencji zwyczajnej, poleconej i towarów, oraz do prowadzenia wszystkich spraw spółki i udzielania adwokatom pełnomocnictw. Na mocy aktów intercyz ustalona została między Alfredem Müllerem i żoną jego Walli, oraz Zacharjaszem Zarombem i jego żoną Chają vel Helą wyłączność majątku i wspólność dorobku. Rudolf Müller intercyzy nie zawarł.

Nr. 13762/A. **„Rywka-Ruchla Ast“** — Herbaciarnia i piwiarnia. Firma istnieje od 1924 roku, Łódź, Żeromskiego 22. Właścicielka Rywka-Ruchla Ast, Żeromskiego 22 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13763/A. **„Zofja Łowicka“** — sklep kolonjalno-spożywczy. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, Karolewska 12. Właścicielka Zofja Łowicka, Łódź, Karolewska 12. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13764/A. **„Michał Mackieło“** — Drobna sprzedaż wędlin i mięsa. Firma istnieje od 1927 r., Łódź, ul. Zamenhofa 19. Właściciel Michał Mackieło, Łódź, Zamenhofa 19. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13765/A. **„Feliksa Maranda“** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, ul. Grabowa 19. Właścicielka Feliksa Maranda, Łódź, ul. Grabowa 19. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13766/A. **„Książka“ — właścicielka Sara Goldsztajn.** Księgarnia i skład materjałów piśmiennych. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku, Łódź, Zielona Nr. 11. Właścicielka Sara Tener Goldsztajn, Łódź, ul. Żeromskiego 85. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13767/A. **„Szmul Beniakowski“** — Sprzedaż towarów bawełnianych Firma istnieje od 1910 roku w Łodzi, Piotrkowska 27. Właściciel Szmul Beniakowski, Łódź, ul. Cegielniana Nr. 53. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13768/A. **„Majer Wajnberg“** — Sklep spożywczy i sprzedaż paszy. Firma istnieje od 1921 r. w Łodzi, ul. Dąbrowska 38. Właściciel Majer-Chil Wajnberg, Łódź, ul. Dąbrowska 38. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13769/A. **„Fiszel Bodzanowski“** — Drobna sprzedaż towarów bawełnianych. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, Piotrkowska 21. Właściciel Fiszel Bodzanowski, Łódź, Piotrkowska 25. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13770/A. **„Alma Pide“** — Herbaciarnia ze sprzedażą piwa. Firma istnieje od 15 kwietnia 1928 roku, Łódź, ul. Nowo-Zarzewska 33. Właścicielka Alma Pide, Łódź, Nowo-Zarzewska 33. Na mocy aktu intercyzy zeznanego dnia 6 września 1921 roku przed notarjuszem Trojanowskim w Łodzi Nr. R. 2409 ustalona została pomiędzy właścicielką firmy a jej mężem Henrykiem Pide wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13771/A. **„Dwojra-Tauba Zyskind“** — Kawiarnia. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku, Łódź, Cegielniana 25. Właścicielka Dwojra-Tauba Zyskind, Łódź, Cegielniana 25. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13772/A. **„Ita Bieniakowska“** — Drobna sprzedaż wyrobów tytoniowych. Firma istnieje od 9 maja 1927 roku, Łódź, Piotrkowska 27. Właścicielka Ita Bieniakowska, Łódź, Cegielniana 53. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13773/A. **„Marta Konczak“** — Sklep spożywczo-kolonjalny. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, Aleje 1-go Maja 36. Właścicielka Marta Konczak, Łódź, Aleje 1-go Maja 36. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13774/A. **„Józef Pol“** — Piwiarnia. Firma istnieje od 1 sierpnia 1925 roku, Łódź, Wólczańska Nr. 161. Właściciel Józef Pol, Łódź, Wólczańska 161. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13775/A. **„Hudesa Krakowska“** — Drobna sprzedaż galanterji. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, Nowomiejska Nr. 8. Właścicielka Hudesa Krakowska, Łódź, Nowomiejska 8. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego przed notarjuszem Rybarskim w dniu 15 grudnia 1911 roku Nr. R. 10698 pomiędzy właścicielką firmy a jej mężem Załmanem Goldbergiem vel Krakowskim, ustaloną została wyłączność majątku i wspólność dorbku.

Nr. 13776/A. **„Mordka Blicblum“** — Drobna sprzedaż mięsa. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, ul. Nowo-Cegielniana 17. Właściciel Mordka Blicblum, Łódź, Nowo-Cegielniana 17. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13777/A. **„Władysław Berger“** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1927 roku w Łodzi, ulica 28-go pułku Sstrzelców Kaniowskich Nr. 12. Właściciel Władysław Berger, Łódź, ul. 28-go pułku Strzelców Kaniowskich 12. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13778/A. **„Zofja Rapalska“** — Sklep kolonjalno-spożywczy. Firma istnieje od 1927 roku, Łódź, ul. Radwańska 17. Właścicielka Zofja Helena Rapalska, Łódź, Radwańska 17. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13779/A. **„Perla Micenmacher“** — Sklep kolonjalno-spożywczy. Firma istnieje od 1923 r. w Łodzi, ul. Zamenhofa Nr. 11. Właścicielka Perla Micenmacher, Łódź, ul. Zamenhofa Nr. 11. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13780/A. **„Wolf Rubinsztein“** — Pracownia deseni tkackich i nawijalnia. Firma istnieje od 1919 roku w Łodzi, ul. Anny 19. Właściciel Wolf Rubinsztein, Łódź, ul. Anny 19. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13781/A. **„Icek Blusztajn“** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, Zielona 57. Właściciel Icek Blusztajn, Łódź, Zielona 57. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13782/A. **„Ida Milsz“** — Sprzedaż wyrobów tytoniowych i materjałów piśmiennych. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, ul. Wólczańska 157. Właścicielka Ida Milsz, Łódź, Wólczańska 157. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13783/A. **„Władysław Micielski“** — Piwiarnia. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, ul. Nowo-Kątna 3. Właściciel Władysław Micielski, Łódź, ul. Nowo-Kątna Nr. 3. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13784/A. **„Berek Braun“** — Sklep spożywczy i wyroby tytoniowe. Firma istnieje od 1905 r., Łódź, ul. Nowo-Cegielniana 17. Właściciel Berek Braun, Łódź, ul. Nowo-Cegielniana 17. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13785/A. **„Julja Banaszek“** — Sklep spożywczo-dystrybucyjny. Firma istnieje od 1919 r., Łódź, ul. Zakątna 23. Właścicielka Julja Walentyna Banaszek, Łódź, ul. Zakątna Nr. 23. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13786/A. **„Adelma Emma Hajdenrajch“** — Drobna sprzedaż naczyń kuchennych. Firma istnieje od 1920 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 203. Właścicielka Adelma Hajdenrajch, Łódź, ul. Piotrkowska 203. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13787/A. **„Klara Horn“** — Piwiarnia. Firma istnieje od 1910 roku, Łódź, ul. Gdańska 143. Właścicielka Klara Horn, Łódź, Gdańska 143. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13788/A. **„Marja Horn“** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1920 roku, Łódź, ul. Gdańska 150. Właścicielka Marja Horn, ul. Gdańska 150. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13789/A. **„Paulina Hauzer“** — Sklep spożywczo-kolonjalny. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, ul. Wólczańska 181. Właścicielka Paulina Hauzer, Łódź, ul. Wólczańska 181. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13790/A. **„Bajla Galewska“** — Drogerja. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, ul. Zielona Nr. 23. Właścicielka Bajla Galewska, Łódź, ul. 6-go Sierpnia Nr. 39. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13791/A. **„Uryn Irichem“** — Drobna sprzedaż towarów bawełnianych. Firma istnieje od 1921 roku, Łódź, ul. Zachodnia 49. Właściciel Uryn Irychem, Łódź, ul. Zachodnia Nr. 49. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13792/A. **„Lucjan Helman“** — Filja rzeźnicza. Firma istnieje od 1927 roku dnia 22 września, Łódź, ul. Andrzeja 30. Właściciel Lucjan Helman, Łódź, ul. Andrzeja 30. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13793/A. **„Estera Lipczyn“** — Drobna sprzedaż galanterji i kapeluszy. Firma istnieje od 1927 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 101. Właścicielka Estera Lipczyn w Łodzi, ul. Piotrkowska 101. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13794/A. **„Chaskiel Feld“** — Drobna sprzedaż artykułów spożywczych. Firma istnieje od 1-go stycznia 1928 roku, Łódź, ul. Zachodnia 66. Właściciel Chaskiel Feld, Łódź, ul. Zachodnia 66. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13795/A. **„Janina Nettyn“** — Herbaciarnia. Firma istnieje od 1926 roku, Łódź, ul. Radwańska 47. Właścicielka Janina Nettyn, Łódź, ul. Nawrot 38. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13796/A. **„Stefanja Pottarzewska“** — Piwiarnia. Firma istnieje od 1921 roku, Łódź, Skwerowa 23. Właścicielka Stefanja Pottarzewska, Łódź, ulica Skwerowa 23. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13797/A. **„Alfons Lissowski“** — Sprzedaż obuwia domowego i dziecinnego. Firma istnieje od 1918 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 65. Właściciel Alfons Lissowski, Łódź, Szosa-Pabjanicka Nr. 40. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13798/A. **„Roman Litke“** — Farbiarnia zarobkowa. Firma istnieje od 1 lipca 1928 r. w Łodzi, ul. Łąkowa Nr. 1. Właściciel Roman Litke, Łódź, ul. Konstantynowska 161. Intercyzy nie zawierał.

Dyrekcja Kolei Elektrycznej Łódzkiej

Sp. Akc.,

podaje niniejszem do wiadomości, że od niedzieli, dnia 23 września 1928 r. pociągi

linji № 14

biegną: od stacji krańcowej na ul. Kątnej przy ul. Towarowej przez ul. Wólczańską, Czerwoną, Piotrkowską, Narutowicza, Kilińskiego, Franciszkańską, Brzezińską, i Łagiewnicką do Bałuckiego Rynku i z powrotem przez ulicę Zgierską i Plac Kościelny

Od tegoż dnia

linja № 4

przedłużona została aż do zbiegu ul. Pomorskiej i Trębackiej. 303

Belgijska Spółka Akcyjna

Société Industrielle et Commerciale des anciens Etablissements

Emile Haebler

Tow. Akc. Przemysłowe i Handlowe dawnych przedsiębiorstw

Emila Haeblera

(Bruksela)

Uprasza się Panów akcjonarjuszów i posiadaczy udziałów założycielskich o wzięcie udziału w

ZWYCZAJNEM WALNEM ZGROMADZENIU,

które się odbędzie w sobotę, dnia 20 października r. b., o godzinie 15 w siedzibie Towarzystwa w Brukseli, 42, Avenue des Arts.

Porządek dzienny:

1. Exposé w sprawie sytuacji.
2. Środki i decyzje, mające być powzięte dla umożliwienia złożenia i zaaprobowania bilansu za rok operacyjny 1926/27. Ewentualne przyjęcie projektu bilansu, jaki przedtem został przedstawiony, bez lub z zastrzeżeniem. Zużycie salda zysku pomienionego roku operacyjnego.
3. Różne.

Zgodnie z artykułem 25 Statutów uprasza się Panów Akcjonarjuszów, którzy sobie życzą brać udział w powyższem Walnem Zgromadzeniu, o złożenie swych akcyj i udziałów założycielskich aż do dnia 13 października r. b. włącznie:

w Brukseli — w siedzibie Towarzystwa,

w Warszawie — w filji Łódzkiego Banku Handlowego,

w Łodzi — w siedzibie polskiej dyrekcji Towarzystwa,

w Amsterdamie — w „Amsterdamsche Bank“,

w Brukseli — Succursale de la Société Genérale de Belgique Ancienne Banque D'Outremer.

Redakcja i Administracja w Łodzi

ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.*

Odbito w Drukarni Piotrkowska 85. 75128